

W numerze: **Bronka musi stąd odejść** • **Tak cię wspominam** • **Rezerwat wyczyńców** • **Plotki z Hollywood** • **Podlotek a literatura** • **Tam, gdzie dziewczęta były inne** • **Felietony** • **Polonica**

# odgłosy



Nr 37 (341)  
13. IX 1964 R.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

## PIERWSZE POLSKIE WAKACJE

Dla studentów z przeszło 40 krajów, którzy w czerwcu ukończyli kurs języka polskiego, wakacje są jeszcze w pełni. Studium Przygotawcze i dom akademicki dla cudzoziemców przy ul. Kopcińskiego, świecą jeszcze pustkami.

W domu akademickim cicho i smętnie. Drzwi trzaśkają rzadko, wiele pokoi zamknięto na długie tygodnie. Znajomych odnajdywałem tutaj z trudem, i to nielicznych: zresztą nawet ci, którzy siedzą w tej chwili w Łodzi, też nie są zbyt uchwytni: wiele godzin spędzają poza domem, bo na sierpień zamknięto stołówkę i jadają dość daleko stąd, przy ul. 1 Maja.

Jak nasi zagraniczni goście spędzają te trzy miesiące? Z jakimi wrażeniami wracają z wczasów?

Dzięki współdziałaniu zakładów pracy ze Studium Języka Polskiego, studenci otrzymali skierowania na dwutygodniowe wczasy do domów FWP w szeregu atrakcyjnych miejscowości nad morzem i w górach. To jest na pewno coś, czy jednak dużo? Pamiętać trzeba, że wakacje trwają cały lipiec, sierpień i wrzesień, a więc z 12 tygodni 10 pozostaje niezorganizowanych. Takie czy inne spędzenie ich zależy od inicjatywy poszczególnego studenta-cudzoziemca. Dla wielu te 10 tygodni — to przymusowy pobyt w Łodzi, bo nie ma co z sobą robić. Niektórzy, pragnąc podreperować budżet, pracują w osławionym „Puchatku” albo pojechali na żniwa do PGR-ów. Można w ten sposób zapracować na kupno np. garnituru. Dla większości jednak cały dzień — to czas wolny, z którym nie wiadomo co począć.

Dalszy ciąg na str. 6



JULIAN RADWAŃSKI

## KIEDY MŁODZI MOGĄ MÓWIĆ O SOBIE

G: Dzisiaj chciałabym sprowokować was do dyskusji na temat, który jest z pewnością trudny, a nawet trochę drażliwy. Jak odpowiedziałybyście na następujące pytanie: Czy — waszym zdaniem — szkoła ma prawo ingerować w sprawy osobiste uczniów, a jeśli tak to w jakim stopniu i dlaczego? I czy w ogóle młodzież w wieku szkolnym (czyli ludzie pod bardzo wieloma względami uzależnieni od dorosłych a więc m. in. od swych wychowawców) może mieć sprawy zastępujące na miano wyłącznie osobistych?

E: Pewnie, że może mieć takie sprawy i ma.

J: Nie, w żadnym wypadku profesorowie nie powinni się wtrącać w sprawy osobiste uczniów, jeśli one oczywiście nie kolidują w jakimś stopniu z obowiązkami szkolnymi.

U: Nie, przeciwnie. Ja właśnie uważam, że mogą się wtrącać, bo jeśli jest fajny profesor, jak uczeń się z nim żyje, to może go prosić o radę nawet w najintymniejszych sprawach. I jeszcze taki profesor na podstawie tych zwierzeń może wytłumaczyć rodzicom psychikę ucznia.

W: Oczywiście, ale niektórzy z wychowawców mogą wykorzystać uzyskane ze zwierzeń uczniowskich wiadomości przeciwko ich autorom. Co prawda takie sytuacje zdarzają się rzadko, bo profesorowie raz pozyskanego zaufania ucznia nie chcą stracić, ale jednak tak bywa.

I: Na przykład: jak ja raz przyznałem się do wagarów, to profesor później każdą moją nieobecność w szkole uważał za wagary.

A: Właśnie! Jeśli chodzi o ingerencję profesorów w nasze sprawy osobiste, to zależy, kto ingeruje i czy robi to z rzeczywistej troski o dobro ucznia, czy też ot, z prostej ciekawości, zwykłej chęci podpatrzania życia bliźniego.

Pozwoliłem sobie na wstępie zacytować fragment wypowiedzi uczniów, zamieszczony na łamach młodzieżowego pisma „Nasz Głos” wychodzącego przy XXV LO im. Stefana Żeromskiego w Łodzi. Wypowiedzi te, zresztą nie jedne na temat szkoły i stosunku uczniów do niej, dowodzą chyba jasno, że młodzi nie tylko interesują się tymi sprawami ale chcieliby i mówić o nich.

Sam pomysł stworzenia pisma szkolnego zrodził się ze wspólnej inicjatywy młodzieży, dyrektora szkoły, mgra Nicpana, i polonisty — czyli piszącego te słowa. Początki nie były łatwe,

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 3

WŁ. BORTNOWSKI

## Na tropach łódzkiego Września (III)

# BITWA NAD BZURĄ

Rozwój wypadków od chwili hitlerowskiej napaści na Polskę wyprzedzał skokami najbardziej pesymistyczne przewidywania naszego naczelnego dowództwa.

W nocy z 1 na 2 września niemiecka dywizja pancerna wkliniła się w styk między armiami „Łódź” i „Kraków”, posuwając się w stronę Radomska. 2 września załamuje się obrona armii „Kraków”. 3 września oddziały armii „Pomorze” znajdujące się w tzw. „korytarzu”, zostają rozjechane przez jednostki pancerno-motorowe. 4 września zagon pancerny objeżdża stanowiska armii „Modlin” i rozbija dywizję odwodową, zmuszając całe ugrupowanie do ruchów odwrotowych. 5 września pęka front armii „Łódź” na skutek silnych uderzeń piechoty wroga i bezkarnie działającego lotnictwa.

W tej sytuacji marszałkowi Smiglemu nie pozostaje inne wyjście, jak zarządzenie ogólnego wycofania się wojsk na linię Wisły-Narwi.

Armia „Poznań” dowodzona

przez generała Tadeusza Kutrzebę zajmowała obszar Wielkopolski. Jej skrzydła stykały się od południa z armią „Łódź”, a od północno-wschodu z armią „Pomorze”.

W okresie 1—5 września armia „Poznań” nie doświadczyła ani siły niemieckiego uderzenia, ani niszczącej działalności wroga lotnictwa. Przeciwnie, miała kilka lokalnych sukcesów w starciach nadgranicznych. Rozkaz wycofania się bez walki otrzymany wieczorem 5 września, stanowił zaskoczenie dla gen. Kutrzeby i jego podkomendnych.

Następnego dnia przeprowadził on rozmowę telefoniczną z Naczelnym Wodzem. Rozmowa prowadzona była w „wojskowym żargonie” ze względu na możliwość podsłuchu. Kutrzeba proponował by „pójść na spacer na bawelnę” (uderzyć na Łódź), ale marszałek Smigły gotów był zgodzić się tylko „na uderzenie w część głowy



Dalszy ciąg na str. 3





Miniony tydzień — poza żywo komentowaną na Zachodzie zapowiedzią wizyty prem. Chruszczowa w Bonn — nie przyniósł większych rewelacji. Przez szpalty gazet codziennych i komunikaty radiowe przewijają się wciąż te same kraje: Wietnam, Cypr, Kongo... Skorzystajmy więc z okazji, by uprzedzić jedno z czekających nas wydarzeń...

Pojęcie „trzeciego świata” znalazło w dyplomacji prawo obywatelstwa. Istnieje bowiem współcześnie rozległa strefa krajów neutralnych — nie związanych z blokiem atlantyckim, ani też z państwami obozu socjalistycznego. Kraje te, neutralne wobec bloków, nie są jednak wcale neutralne wobec podstawowego problemu naszych czasów — zagadnienia wojny i pokoju.

Zdecydowana większość z nich dopiero od kilku lat korzysta z niepodległości. Niekiedy wyraża się ona tylko w nacjonalistycznych sztandarach i hymnach, jej ramy bowiem kępią jeszcze państwa, które do niedawna traktowały te terytoria jako swe kolonie.

Kraje te, nowo wyzwolone, doświadczają aż nadto, co to jest kolonializm i obecnie — jak najświetlejszą sprawę — bronią swej samodzielności, i walczą o jej poszerzenie. To zaś jest możliwe tylko w warunkach pokoju. Nie przeto dziwnego, że walczą się do licznych akcji dyplomatycznych obozu socjalistycznego, na rzecz pokoju, a często same je inicjują.

Dowodów na rolę, jaką „trzeci świat” spełnia w niedopuszczeniu do zbrojnego konfliktu — można przytoczyć wiele. Przypomnijmy sobie chociażby okres napięcia, spowodowanego kryzysem w strefie Morza Karaibskiego, czy też wkład krajów neutralnych w rozmowy genewskie na temat rozbrojenia.

Dlatego też, gdy charakterujemy nowy układ sił w świecie i wymieniamy czynniki, które sprawiły, że wojnę można wyeliminować jako środek rozstrzygnięcia spornych problemów międzynarodowych — istnieje strefa krajów neutralnych, w której wyliczamy na drugim miejscu, zaraz po obozie socjalistycznym.

Z największym zainteresowaniem śledzić więc będziemy obrady II Konferencji Krajów Niezaangażowanych w Kairze, która zapowiedziana została na 5 października. Z tym większym, że od września 1961 roku, kiedy to obradowała w Belgradzie I konferencja, poprawiła się znacznie atmosfera międzynarodowa, a lista niezaangażowanych wydłużyła się.

Obecnie lista ewentualnych uczestników konferencji obejmuje nie tylko 25 krajów, reprezentowanych wówczas w Belgradzie, lecz również: 33 państwa — członków Organizacji Jedności Afrykańskiej, 13 państw

Ligi Arabskiej, 10 Ameryki Łacińskiej oraz państwa neutralne Europy. Oczywiście, nie wszystkie z wymienionych krajów przyjęły zaproszenie. Mimo to na spotkaniu kairskim będzie najprawdopodobniej reprezentowanych ponad 50 państw, a więc dwukrotnie więcej niż przed trzema laty — połowa członków Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Już to nadaje nieprzeciętną rangę „parlamentowi szefów niezaangażowanych państw” — jak nazwano kairską konferencję.

Co będzie tematem obrad?

Tymczasowy porządek dzienny, ustalony w Colombo — jakkolwiek zredagowany w sposób dość ogólny — przewiduje dyskusję nad kolonializmem, neokolonializmem, imperiaлизmem i pokrewnymi tematami. Jednakże główny akcent z całą pewnością położony będzie na obronę pokoju światowego.

Niezaangażowani nie ograniczą się li tylko do zagadnień politycznych. Na porządku dziennym znajdują się problemy krajów słabo rozwiniętych — środki zaradcze, zmierzające do wyrównania przepaści między „głodnymi” i „sytnymi”. Kraje „trzeciego świata” słusznie bowiem zanębiają nie są polityką, uprawianą przez mocarstwa zachodnie, a prowadzącą do systematycznej obniżki cen surowców przy równoczesnym podnoszeniu cen na artykuły przemysłowe.

Na poprzedniej konferencji szefowie 25 krajów opowiedzieli się niemal we wszystkich podstawowych zagadnieniach. Jednym była decyzja co do polityki pokojowego współistnienia i rozstrzygnięcia spornych problemów przy stole obrad.

Wyrażono swoją opinię na temat powszechnego i całkowitego rozbrojenia, w kwestii niemieckiej, w sprawach kolonializmu...

Wypowiedziane wówczas opinie zbliżyły się lub pokryły w całości z wnioskami, wysuwanymi przez kraje socjalistyczne.

„Westfaelische Rundschau” pisał na marginesie konferencji:

„Jest to jawne zwycięstwo ZSRR, a bolesna porażka zachodnich koncepcji...”

Na konferencji belgradzkiej nie oszczędzono żadnego z mocarstw zachodnich — mniej więcej równo rozdzielano krzywkę pod adresem Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Francji.

Tym razem może być inaczej: głównym obiektem ataków najprawdopodobniej będą Stany Zjednoczone z uwagi na ich rolę w Wietnamie, Kongo, na Cyprze — wszędzie tam, gdzie właśnie aktualnie istnieją ośrodki światowego niepokojów.

Konferencja kairska z pewnością nie odkryje cudownego leku na wszystkie dolegliwości współczesnego świata. Nie jest to możliwe w ogóle, a tym bardziej wówczas, gdy nie wszyscy uczestnicy dysponują pełną swobodą działania. Zamiar jednak promotorów tej konferencji skodyfikowania zasad pokojowego współistnienia (dokument ten byłby przekazany do aprobaty ONZ) i wypracowania płaszczyzny wspólnego działania, nawet jeśli jej rozmiary będą skromne, to już i tak duży wkład w obronę światowego pokoju.

W. SŁAWSKI

kaz przynikać oczy — wg wszelkich prawideł zaciągu do Legii Cudzoziemskiej.

Pierwszy rzut białych najemników został oddany pod dowództwo dawnego przyjaciela Czombe — Patricia O'Malleya; wzmocniono go oddziałem czarnej żandarmerii i po sutej libacji rzucono do pierwszego boju: chrzest ogniowy najemników miał miejsce o 30 mil od Albertville. Niezstety — pisze TIME — chrzest ten nie przyniósł oddziałom Czombe spodziewanego sukcesu.

DIE WELT: „W barze hotelu Memling w Leopoldville królują od paru dni biali najemnicy Moise Czombe. Część ich już wyruszyła na wschód, na najbardziej zagrożone odcinki frontu.

Na front odjechał „Nieśmiertelny Chrystian” — Belg z ochrony Czombe, który zasłynął już w 1961 r. w Katandze z wyjątkowego okrucieństwa.

Do chwili obecnej (reportaż pisany 31 sierpnia) Czombe zwerbował około 300 białych. Kim są ci ludzie? Atak na Albertville prowadził były oficer bry-

tyjski Michael Hoare. Przy nim widziano kapitana Jimmy Hedgesa — „Dzkiego Jimmy”. Ten walczył już wszędzie: na Malajach, w Birmie, przeciw powstaniu Mau-Mau. Słynie z nienawiści do Murzynów.

Wokół takich strażników grupują się nieznani, pozabawieni dokumentów i nazwisk wykolejający. W Leopoldville zjawiają się Francuzi i Belgowie, Niemcy i nawet Polacy-emigranci. Wśród nich są i tacy, którzy do niedawna walczyli w Jemenie, w rojalistycznych oddziałach Imama.

W Kapstad akcję werbunkową prowadzi były pułkownik kanadyjskiej armii, Reginald Harris. Małomówny Anglik niechętnie udziela wywiadów: Reporterom powiedział: „Można w Kongo zarobić dużo pieniędzy. Można przeżyć i wiele przyciągnąć. Ale trzeba też być i przygotowanym na straszną śmierć”.

Tak więc najemnicy nie mają złudzeń i wiedzą co ich czeka: za okrucieństwa i mordy będą musieli odpowiedzieć, a gniew Afryki — jeszcze bardziej zjednoczonej przeciw białej interwencji — wzbiera.

## Z ANGOLSKIEJ DŻUNGLI

— Wróg atakował przy użyciu kolumn samochodów pancernych, osłanianych przez łońctwo. Jedną z bomb wybuchła gdzieś obok mnie. Ujrzałem potężny, czerwony błysk — i nie więcej. Oslepiłem... Mieliliśmy pięciu zabitych i sześćdziesięciu rannych...

Nie była to relacja z drugiej wojny światowej, ale z walk wyzwoleńczych w Angoli i dotyczyła kampanii w rejonie Nanbuangongo znajdującego się od pięciu miesięcy w rękach powstańców angolskich.

Narratorem był bohater wojny wyzwoleńczej, która toczy się w tym zakątku Afryki — czarny jak heban mimo portugalskiego nazwiska Joao Goncalves Benedito. Wystąpił on nad Europą na skomplikowaną operację, która miała mu przywrócić wzrok. Tutaj też opowiedział nieznane szczegóły walk Angolowi Boan, korespondentowi kubańskiemu dziennika „Revolucion”.

Benedito urodził się w Angoli w 1927 roku. Dzięki ogromnemu samozaparciu zdołał zdobyć średnie wykształcenie. Żył tak, jak żyje się w tej okrutnej kolonii dogorywającego imperium portugalskiego. Pewnego dnia wpadła mu w ręce publikacja Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli (MPLA). Zrobiła na nim wielkie wrażenie. Zaaprobował program i statut i stał się bojownikiem ruchu. W całym kraju zaczął organizować komórki MPLA wśród chłopów.

4 lutego 1961 roku atak na więzienia w Luandzie dał sygnał do powstania. W pięć miesięcy później, w lipcu tego roku, rewolucjoniści bohatersko stawili czoła wojskom kolonialnym. W Nanbuangongo ruszyli do boju z tym, co było pod ręką: prymitywną bronią, starymi armatami nabijanymi z przodu kamieniami i materiałem wybuchowym, z mieszanekami zapalającymi domowej roboty. Angolczy-

## POLONICA

JOHN GRONOUSKI UCZY SIĘ POLSKIEGO

John Gronouski, amerykański minister poczty i telegrafu, Polak z pochodzenia, w najbliższych tygodniach kampanii wyborczej zamierza występować w polskich okręgach i agitować na rzecz wyboru prezydenta Johnsona w języku polskim. W tym celu od pewnego czasu John Gronouski bierze w Waszyngtonie codziennie lekcje języka polskiego, by wprawić się w mówieniu i nie popełniać błędów. Lekcji udziela mu profesor-wykładowca, którego nazwiska nie podano jednak do publicznej wiadomości.

„W TYM MIEJSCU EUROPY”

Znana firma wydawnicza w zachodnich Niemczech, R. Piper Verlag, zapowiedziała wydanie tomu rozważań i glosów Stefana Kisielewskiego pt. „W tym miejscu Europy” (czyli po prostu w Polsce). Wydawnictwo zapowiada, że książka ta winna obudzić zainteresowanie czytelników NRF także i dlatego, że w tomie będą pomieszczone artykuły Kisielewskiego o swojej podróży po Niemczech zachodnich.

NOWY SUKCES KAWALEROWICZA

W hamburskim dzienniku „Die Andere Zeitung” (z 27 sierpnia br.) ukazał się artykuł pt. „Münchener Beispiel” (Przykład monachijski), z którego wynika, że w jednym z kin w Monachium idzie już od trzech miesięcy przy pełnych kompletach film polski „Malka Joanna od Aniołów”. Zdaniem autora artykułu film ten wyrzuca konkurencję z najbardziej wziętymi besisełkami, chociaż — jak wiadomo — „Malka Joanna od Aniołów” nie służyła tanim gustom i na powszechny odbiór liczyć nie może. Anons kina monachijskiego brzmi: „Ten film winni zobaczyć wszyscy, ponieważ dotyczy on spraw, które dotychczas uznawane były za nietykalne.”

I JESZCZE W NRF

W ubiegłym tygodniu „Die Welt” przedstawiła swym czytelnikom szwedzki film „Kochać” (Atł Alska), w którym główną rolę gra Zbigniew Cybulski. Gazeta uważa, że film, a szczególnie jego aktorskie kreacje, znajdują uznanie u zbliżających się festiwalach.

Natomiast ostatni „Der Spiegel” poświęca wiele miejsca twórczości Romana Polańskiego: jest to jak zwykle w tym piśmie, rzetelna pod względem dziennikarskim i dość przewrotna próba artystycznej i politycznej analizy dorobku młodego filmowca. Prześledźmy te wywody.

Na wstępie Polański (wg pisma: polski awangardzista) — zostaje postawiony w jednym rzędzie z najwybitniejszymi twórcami młodego filmu: żródło i wzorów jego manieri twórczej szuka się u Becketa i Brechta (i) W obszernej części poświęconej życiorysowi Polańskiego, redakcja nie szczędzi pikantnych szczegółów. Cały jego wreszcie dotychczasowy dorobek uznany zostaje za poszukiwania metafory czy przenośni wyrażającej prawdy trudne do wypowiedzenia. Zdanie (jakoby) wypowiedziane przez Polańskiego na marginesie filmu „Nóż w wodzie”, cytujemy za niemieckim piśmie: „W moim kraju Cud Gospodarczy stworzył nową warstwę posiadającą: Ci ludzie wprowadzili istotnie praują — ale nie troszczą się ani o problemy polityczne ani o sprawy duchowe”.

Tyle Polański o (czyha?) prywatnej inisjatywie. Wróćmy jednak do naszej relacji. Na jej zakończenie dowiadujemy się, że Polański pracuje nad filmem pt. „Wstąpię”. Realizacją go producent anglofrancuski. Film jest poświęcony modnym dziś na Zachodzie problemom perwersji seksualnych. Sam Polański — wg Der Spiegel — powiedział na ten temat: „W głosnych powieściach opisuje się na całej stronie najdziwnsze sprawy seksualne! Dlatego film miałby w tej dziedzinie pozostać ubogim krewnym...”

## JAK PODBIĆ KONGO?

Po powrocie Moise Czombe do władzy prasa zachodnia rozpaczliwie usiłuje ukazać tę osławioną kreaturę w korzystnym świetle: czytamy więc o „wykształceniu” kacyka z Katangi, o jego „europejskości”, „liberalizmie”, itp. Tymczasem sytuacja wewnętrzna Kongo coraz bardziej komplikuje: szczególnie przyczynia się do tego jawna już amerykańska ingerencja w wewnętrzne sprawy kraju. Waszyngton i tu postawił na zgrana kartę. A więc tzw. „doradcy wojskowi”. A więc tzw. „sprzęt pomocniczy”. A wreszcie — już bez osłonek — i spadochroniarze.

Trzeba przyznać, że Wa-

szington zdecydował się na taką akcję w szczególnej chwili: Czombe o taką właśnie pomoc prosił Belgów. Spotkał się z odmową — może z powodu wewnętrznych sporów belgijskich polityków, a może Czombe był zbyt już skompromitowany w tym rządzącym niegdyś Kongiem kraju. Dla Amerykanów był on jednak odpowiednim partnerem. W miejsce Belgów weszli Amerykanie. W Brukseli zorientowano się, że odmowa pomocy militarnej dla Moise Czombe była błędna. Jak ten błąd naprawić?

I oto czytamy w prasie zachodnioeuropejskiej o wielkiej akcji „wściekłego” Czombe: rekrutuje on białych najemników by sformować z nich pod dowództwem Belga, pułkownika Van de Walle, kilka karanych oddziałów: plan jest przejrzysty, może w ten sposób uda się okiełznać potężniejszy ruch narodowo-wyzwoleńczy.

Ale oddajmy głos prasie: Oto co ona donosi:

OBSERVER: „Do Kamina przybywa coraz więcej białych najemników. Wabi ich pieniądze: otrzymują 100

funtów na koszty podróży i polisę asekuracyjną na wypadek śmierci na sumę 7 000 funtów. Zgłaszają się przeważnie wyrzutki społeczeństwa, strażnicy i poszukiwani przestępcy. Nie brak i fanatyków — rasistów z Rodezji i Płd. Afryki”.

TIME: „Ogłoszenie w Johannesburgu gazecie zachęcało każdego młodego człowieka, który chce prowadzić niezależne, pełne przygod życia, by zadzwonił pod numer 838-5202 w godzinach urzędowych. Identyfikacyjne ogłoszenia ukazywały się w tynnych miastach płd. afrykańskich. W Salisbury na ulicach rozdawano młodym ludziom ulotki z nadrukiem „Zadzwoń pod 55715”. Reporter TIME zadzwonił pod ten numer i odwiedził wskazany przez telefon dom. Kryje się w nim trzeciorzędna prywatna klinika stomatologiczna. Zgłaszających się było sporo, każdemu z nich proponowano zaciągnięcie się do formacji specjalnych Moise Czombego, z żołdem 150 funtów miesięcznie. Nikt nie sprawdził dokumentów. Nie było żadnej komisji lekarskiej. Policja miała roz-



# BITWA NAD BZURĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

bydłęcia" (wypad na Ozorków). Przy zakończeniu rozmowy Smigły mówił niemal z rozpaczą: „Otworzyć sobie drogę, gdy będzie potrzeba. Zaklinam, aby pan maszerował możliwie szybko na Warszawę...“

## DECYZJA ZWROTU ZACZEPNEGO

Przystępując do wykonywania odwrotu na Wisłę gen. Kutrzeba nie zdawał sobie sprawy z istotnej sytuacji — w jakiej znajdowały się wojska polskie. Sądził, że armia „Łódź” toczy jeszcze ostre walki opóźniające, a armia od wodowa „Prusy” przynajmniej na kilka dni zatrzyma posuwanie się niemieckiego zagonu pancernego.

Armia „Poznań” składała się z 4 dywizji piechoty (jedna podporządkowana została dowództwu armii „Pomorze”) i 2 brygad kawalerii w pełnej gotowości bojowej. Szlak odwrotu wiódł wzdłuż północnego biegu Bzury, gdzie miały „spłynąć” także i wycofujące się jednostki armii „Pomorze”.

Ponieważ meldunki zwiadu donosiły, że na południe od linii od wrotu armii „Poznań” znajdują się stosunkowo słabe siły niemieckie, które oskrzydliły armię „Łódź”, gen. Kutrzeba postanawia wykorzystać sytuację dogodną dla wykonania zwrotu zaczepnego, a przez to przysięść z pomocą wojskom gen. Rómmla, związać siły niemieckie i dać naczelnemu dowództwu czas na zorganizowanie obrony linii Wisły — Narwi.

W trakcie ruchów odwrotnych, 8 września gen. Kutrzeba uzyskał telefoniczne połączenie z Warszawą. Rydz-Smigły znajdował się już w Brześciu, natomiast jeszcze „urzędował” w stolicy szef sztabu nac. dowództwa gen. W. Ślachiewicz. Z pewnymi oporami wyraził on aprobatę dla planu operacji zaczepnej, zastrzegając się, że musi porozumieć się z naczelnym wodzem. Ponieważ czas naglił gen. Kutrzeba natychmiast przystąpił do przegrupowywania wojsk.

Gen. Kutrzeba pozostawił w kontakcie z dowódcą armii „Pomorze” gen. Bortnowskim, który chociaż bez entuzjazmu, lecz zgodził się na współdziałanie obu armii podporządkowując się dobrowolnie inicjatorowi planu.

Zwrot zaczepny miała wykonać najpierw grupa operacyjna gen. Knolla (3 dywizje piechoty, 1 bry-

gada kawalerii) z armii „Poznań”, uderzając na Łęczycę — Piątek i zbliżając się do Łodzi. Następnie miała wejść do akcji grupa gen. Bołtucia z armii „Pomorze” (2 dywizje piechoty i 1 dywizja w odwodzie) i nacierać pomiędzy Białawą a Łowiczem w kierunku na Głowno — Skierniewice.

Przebiegu bitwy, rzecz jasna, gen. Kutrzeba przewidzieć nie mógł w szczególności. Widział dogodne położenie wojsk własnych dla wykonania uderzenia skrzydłowego i tej sytuacji nie chciał zmarnować.

## POLSKIE NATARCIE

Szczegóły operacji obu armii gen. Kutrzeba uzgodnił z gen. Bortnowskim w ciągu 8 września. Natarcie grupy gen. Knolla (14, 17, 25 dywizje piechoty) wyznaczono na świt 10. IX. Grupa gen. Bołtucia (4, 16, 26 dywizje piechoty) — która wycofywała się w kierunku Bzury, miała wejść do akcji po 2—3 dniach walk oddziałów poznańskich.

9 września w jednostkach armii „Poznań” prowadzono gorączkowe przygotowania do natarcia. Pragmatycznie walki było tak silne, że jeden z dowódców pułków już 9 września wieczorem próbował wyrzucić z Łęczycy niemiecką załogę. Użył jednakże do działania zbyt słabych sił i nie osiągnął celu, natomiast przedwcześnie zaalarmował wroga.

O świcie 10 września rozpoczęło się równoczesne natarcie na Łęczycę, Celestynów i Piątek. Walki od początku przybrały charakter obustronnie zacięty. Polska piechota z pogardą śmierci posuwała się naprzód, nie czekając na konieczne wsparcie artyleryjskie. Ponośliła więc duże straty.

Gen. Kutrzeba tak relacjonuje przebieg walk: „Robiliśmy znaczne postępy, chociaż nie udało się dokonać prawdziwego przełamania. Przeciwnik odepchnął powoli ponosząc bardzo ciężkie straty, lecz i nasze były wielkie. Dochodziło do walk na białą broń... Po bitwie zupełnie 30 dywizję niemiecką, która utraciła 1.500 jeńców, ponad 30 dział i bardzo wielu poległych. Jej dowódca gen. von Briesen został ranny...“

W ciągu 10, 11, 12 września bitwa wrzała z obustronna zaciętością. Zajęto w walce Łęczycę, Piątek, Celestynów. Pod Ozorkowem przedłużał się uporczywy bój, lecz Niemcy szybko ściągali rezerwy. Już 11 września obok

resztek 30 dywizji niemieckiej we szła do boju 24 dywizja oraz część 10 i 17 dywizji. Posiłki podwożono samochodami. Ściągnięto czołgi maszerujące na Warszawę, a lotnictwo od 12 września zaczęło coraz silniej nękać polską piechotę.

12 września natarcie utknęło i ze względu na przemęczenie żołnierzy, i ze względu na rosnące siły wroga.

Wówczas gen. Kutrzeba nakazuje grupie gen. Knolla oderwać się od wroga, przejść na lewy brzeg Bzury, a po jednodniowym, koniecznym odpoczynku wznowić marsz na wschód. Równocześnie 16 dywizja z grupy gen. Bołtucia przeszła Bzurę, wdarła się do Łowicza i po walkach ulicznych zajęła miasto. W nocy z 13 na 14 jednostki armii „Pomorze” miały uderzyć na Skierniewice.

14 września Polacy opanowali szosę Głowno — Łowicz, a po sforsowaniu Bzury w kilku miejscach rozwijali natarcie odcinając. W trakcie walk gen. Bortnowski otrzymał meldunek, że silna kolumna pancerna operuje między Sochaczewem a Błoniem. Była to 4 dywizja pancerna ścigająca się spod Warszawy. Obawiając się okrążenia pancernego, gen. Bortnowski wstrzymał natarcie i rozkazał z powrotem ostonić się biegiem Bzury. Równocześnie wy-

dzielono ze składu 26 dywizji oddziały dla ewentualnej obrony przeciwpancernej. Okres „polskiego powodzenia” kończy się więc 14 września.

W ciągu dwu następnych dni grupa gen. Bołtucia broniła linii Bzury, lecz nacisk Niemców rosił dosłownie z godziny na godzinę. Lotnictwo zdeorganizowało obronę, a 17 września staje się „czarnym dniem” dla obu armii polskich. Zabrakło amunicji przeciwlotniczej; większość baterii miała wszystkiego po 5—10 pocisków na czło. Lotnicy niemieccy w pozycjach niemal pełnej bezkarności obniżali loty do maksimum, nadto korpus pancerny wbił kilka kilometrów w polskie ugrupowanie. Jednołite dowodzenie zalażało się.

Poszczególne jednostki z obu armii przedzieraly się w walce bądź do Warszawy, bądź do Modlina i wzmacniały załogi obu wysuniętych, a zarazem i odizolowanych miejsc polskiego oporu.

Gen. Kutrzeba wszedł do Warszawy 20 września. Gen. Bortnowski nie mógł wydostać się z okrążenia i znalazł się w niewoli. Fręjes: na polu chwaly dowódcy 4, 16, 14, 27 dywizji piechoty oraz dowódcy pomorskiej brygady kawalerii. Równie duże straty były wśród korpusu oficerskiego (zwłaszcza dowódcy batalionów i kompanii).

## WNIOSKI

Pomimo bohaterstwa żołnierzy i wysiłku dowódców bitwa nad Bzurą stała się walką przegraną. Wykazała, że nowoczesna wojna wy-

maga zsynchronizowania dwu czynników: wysokiego morale żołnierskiego i nowoczesnej techniki wojennej.

Bitwa nad Bzurą była jedynym, przeprowadzonym na większą skalę polskim zwrotem zaczepnym podczas kampanii wrześniowej. Doszło wówczas do współdziałania dwu armii, a moment uderzenia został wybrany trafnie.

10, 11 września polska piechota walczy z niemiecką piechotą uzyskując powodzenie w całym pasie natarcia. Lecz dowództwo niemieckie jakże szybko zmienia położenie na własną korzyść. Przez grupowanie jednostek pancernych, ściąganie samochodami rezerw, stawia Polaków wobec przewagi liczebnej i materiałowej wroga. Natarcie przechodzi w obronę, a od 17 września żołnierz polski jest już właściwie całkowicie bezbronny wobec lotnictwa i ataków masy pancernej.

Wśród kontrowersyjnych ocen bitwy nad Bzurą wydaje się, że pozostanie niezaprzeczony wniosek jej autora, gen. Kutrzeby, który tymi słowami kończy swój pamflet:

„Przechodząc koło grobów żołnierskich nad Bzurą, niech przysiężli nasi dowódcy sprawiedliwie wspomną, że leżą tu jeden z tych, którzy starali się wykonać niewykonalny w 1939 r. obowiązek obro ny Polski...“

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

\* T. Kutrzeba — Bitwa nad Bzurą, Warszawa 1957, s. 103—104.

\*\* Tamże, s. 186.



# KIEDY MŁODZI MOGĄ MÓWIĆ O SOBIE

Dalszy ciąg ze str. 1

ponieważ wiele spraw było spornych, wiele technicznie trudnych do zrealizowania, a wielu trzeba było po prostu się uczyć w trakcie pracy. Początkowo sporo kłopotów sprawiło ustalenie charakteru przyszłego pisma. Czy to ma być coś w rodzaju magazynu społeczno-literackiego? A może stworzyć trybunę młodych talentów? A może pismo satyryczne? Pytań i wątpliwości było wiele... Osobiście skłaniałem się ku pierwszej koncepcji. Dać możliwość wypowiedzenia się uczniom na interesujące ich tematy, skonfrontować ich opinie ze zdaniem wychowawców, wydało nam się rzeczą pożyteczną i zbliżającą szkołę do młodzieży. (Stąd w tym piśmieku tyle dyskusji, wywiadów i ankiet np. na temat: „Czy szkoła ma prawo ingerować w sprawy osobiste ucznia?“, „Oni nie umieją teatru“, „Korepetycje — dobrodziejstwo czy zło konieczne“, „Czy naprawdę konflikt sportu z nauką?“, „Palcą problem — ZMS“ — świadczą chyba wymownie o ambicjach zespołu re-

dakcyjnego. Innym zagadnieniem było umożliwienie młodzieży wypowiedzenia się w kształcie artystycznym.

Osobnym problemem stała się „strona techniczna” pisma. Skąd brać papier, matryce? Kto ma pisać na maszynie? Skąd wziąć powielacz? Trudności mnożyły, doświadczenia niewiele. Ale ostatecznie papier i matryce się znalazły, maszynę do pisania udostępniła dyrekcja szkoły, a odkryty w rupieciarń zepsuty powielacz spisywał się po naprawie zupełnie dobrze.

W tym samym mniej więcej czasie powstawały i w innych szkołach ogólnokształcących i zawodowych pismka, które niestety po krótkim żywocie marniały, bo albo brakło młodzieży wytrwałości, albo zachęty i pomocy ze strony starszych. Sama młodzież niewiele robi, jeżeli nie znajdzie oparcia w dyrekcji szkoły i nauczycielstwie. Może ktoś zapytać: A właściwie po co ten cały kłopot? Wielka rzecz — pismo uczniowskie. Przecież te same sprawy załatwi gazetka ścienna... Można by przytoczyć wiele dowodów na stwierdzenie, że to nie jest to samo: choćby to, że praca redakcyjna przypomina już pracę nad prawdziwym czasopiśmie i to młodzież — jak miałem możliwość się przekonać — ogromnie wleaga, pasjonuje.

A teraz nieco informacji o osiągnięciach i brakach tego młodego pisma, znowu w tym celu, aby z jednej strony wykazać walory tego rodzaju pracy z młodzieżą, a z drugiej przestrzec przed zbyt dużym optymizmem.

Praca na pewno nie jest łatwa, ale za to stokrotnie się opłaca, jeżeli się uda. Do niewątpliwych osiągnięć „naszej gazety” należy zaliczyć cały cykl artykułów, dyskusji czy ankiet, dotyczących poglądów młodzieży na sprawy szkoły czy nauki. Ani dyrektor szkoły, ani opiekun redakcji nie krepowali tej inicjatywy, aby po prostu nie hamować wypowiedzi szczerych, bo przecież o nie tylko chodziło. Drugim dodatnim zjawiskiem

było kilka wcale interesujących debiutów literackich.

Oczywiście, nie byłoby pisma gdyby nie zespół, który się porwał na to przedsięwzięcie. I właśnie tę grupkę młodych ludzi chciałbym teraz przedstawić. Przez prawie dwa lata prowadziła ten zespół Grażyna Rzepecka, obecnie już studentka socjologii UL. Głównie dzięki niej pismo osiągnęło jak na swoje możliwości tak wysoki poziom. Dziełnie pomagali jej: Maria Misurewicz (recenzje, popularyzacja sztuki, piosenki), Jadwiga Wileńska, Marian Szaniawski (recenzje teatralne), Lucyna Urbaniak (organizacja) i inni. Do bezspornych pozytywnych trzeba zapisać to, że uczniowie ci starali się poruszać głównie sprawy interesujące młodzież. Nie próbowali naśladować „dorosłych” czasopism, ale wypracowywali własny styl, dostosowany do ich potrzeb. Chciałbym tu dla przykładu pokazać, jak wyglądała zawartość numeru. Oto tytuły nie wszystkie zresztą:

- I — Zimowisko KL ZMS w Podzamku k/Kłodzka
- II — Oni nie umieją teatru (złożoności pod adresem młodocianej widowni)
- III — Czy naprawdę konflikt sportu z nauką? (przyczynek do dyskusji)
- IV — „Dziewczyzna” — opowiadanie — debiut
- V — Kącik „Rytmów” — Pat Boone i tekst piosenki „Speedy Gonzales”
- VI — Jazz Jamboree 62 (trochę późno, ale jednak)
- VII — Początek przyjaźni (wrażenia z subskrypcji grafiki łódzkiej)
- VIII — O wszystkim po trochu (czyli nasz Kramik Rozmaitości).

Czasopismo nasze ukazuje się mniej więcej regularnie, mimo że jest redagowane przecież przez uczniów normalnej szkoły, obciążonych codziennym przygotowaniem się do lekcji. I to właśnie zasługuje na szczególne podkreślenie,

zwłaszcza, że większość zespołu redakcyjnego to uczniowie dobry. Tyle miałbym do powiedzenia o dobrych stronach tej sprawy. Są jednak i braki. Do nich zaliczyłbym przede wszystkim różny poziom drukowanych prac, kłopoty z nie zawsze właściwym doбором materiału, wynikające częstokroć z konieczności pisanie „na kolanie” dla wypełnienia numeru. Jedną szkołą to czasem za mało; trudno wymagać, aby stała się kopalnią talentów. Na pewno nie cieszy nikogo i szata graficzna pismka. Druk czasem nieczytelny, brak efektownej winitety tytułowej, kartki spinane zszywaczem — to mogło deperwować, ale na to niestety nie mieliśmy już rady. Osobnym zagadnieniem jest brak humoru czy satyry w dotychczasowych numerach „Naszego Głosu”. No, cóż, tak się już złożyło, że wśród tych, co zajmowali się pisanem do niego nie było nikogo zarażonego bakcyliem wesołości, chociaż próby podejmowano...

Tyle o samym piśmie a teraz raz jeszcze postawmy pytanie — Czy takie pisma są potrzebne młodzieży? Czy dotychczasowa forma naszej pracy była doskonała i należałoby ją kontynuować...? Oczywiście, będzieny starali się poprawić ją przez organizowanie konkursów literackich, przez rawizywanie szerszym niż dotąd kontaktów z innymi szkołami, spróbujemy także współpracy ze studentami wyższych uczelni i będzieny przede wszystkim zwracać uwagę na powiązanie pisma z życiem młodzieży, bo to przecież jej pismo.

JULIAN RADWAŃSKI

## Od Redakcji:

Na terenie Warszawy istnieje pismo międzyuczelniane, obejmujące swym zasięgiem wiele szkół i udostępniające swe łamy wszystkim co zdolniejszym uczniom szkół warszawskich. Podobny projekt w Łodzi wysuwała w swoim czasie pani mgr Soboniowa, zasłużona instruktorka OOM. Niestety, trudności organizacyjne przekreśliły ten na pewno pożyteczny pomysł.



# PIERWSZE POLSKIE WAKACJE

Dalszy ciąg ze str. 1



Mówi **PHYZUL SATTAUR** z Gujany Brytyjskiej.

— Mam niewielki kontakt z Zrzeszeniem Studentów Polskich, a także z kształcąca się na wyższych uczelniach młodzieżą polską. Mieszkamy oddzielnie, toteż wychodząc poza obręb naszego domu akademickiego czujemy się, jak byśmy zesłali na wyspy Robinsona. To jest przyczyna, dla której mówimy gorzej, niż moglibyśmy mówić. Oczywiście, rozumiemy powody, dla których przeniesiono nas z ul. Lumumby do oddzielnego akademika, tym nie mniej musimy stwierdzić, że rezultaty w przyswajaniu języka są na pewno gorsze. Obracamy się tutaj w różnorodnym zbiorowisku, mówiącym po polsku niepoprawnie i poza lekcjami, tu na miejscu nie ma możliwości korygowania swoich błędów i wyjaśniania powstających co chwila problemów językowych. Na Lumumby przychodził z odsieczą Polak mieszkający przez ścianę albo nawet w tym samym pokoju. Teraz, podczas wakacji, kiedy przez trzy miesiące nie ma lekcji, nie pogłębiamy właściwie naszej znajomości języka. Najwyżej przez czytanie, ale nie każdemu się chce, zresztą najważniejsza jest dla nas konwersacja.

— Macie przecież przyjaciół wśród Polaków...  
— Jedni mają, a inni nie. Ja na przykład mam z tym duże trudności. Wychodzę z akademika na ulicę — i w tłumach przechodniów mam szukać przyjaciół. To nie jest wcale łatwe, nie każdy potrafi.

— Wielu cudzoziemców — mówię — postarało się jednak o prywatne wczasy i dzięki temu nie są skazani na pobyt w Łodzi.

— Ja pojechałem na takie właśnie prywatne wczasy na tydzień do Gdańska, na własną rękę i na własny koszt. Poprzez biuro zakwaterowania wynajmowałem pokój za 55 zł dziennie, stołowałem się w restauracji. Kosztowało mnie to moc pieniędzy, ale zdecydowałem się, byle uciec z łódzkiej nudy, choć by w pojedynkę.

— Czy nie mogłeś wyjechać z jakimś Gujańczykiem, Afrykańczykiem, kimkolwiek?

— A kto może sobie pozwolić na takie koszty? Ja mogłem, bo wsparła mnie finansowo rodzina, dostałem pieniądze z Gujany. Fatalny był ten gdański tydzień. Posłuchaj. Nie ma nikogo, kto ci wskaże w Gdańsku coś ciekawego — a ja wiem, że to bardzo ciekawe miasto, jednak byłem tam obcy, nie wiedziałem, jak się obrócić, jak trafić tam, gdzie warto. Gdy dotrzesz do muzeum, do niektórych odnalezionych po omacku zabytków — nie ma cię kto objaśnić, oprowadzić. I wreszcie — kolor mojej skóry...

— Czybyś spotkał się z jakimś objawem rasizmu?

— Nie było w tym ani krztyni rasizmu, po prostu przyjazne zawsze zainteresowanie moją „innoscia”. Nie lubię jednak wzbudzać sensacji, nie jestem gwiazdorem filmowym, który chce — albo musi — tego doświadczać. Wszelka inność wzbudza zainteresowanie, np. człowiek ekstra waganek ubrany, ale taki człowiek sam tego chce, po to się tak ubiera. Ja natomiast jestem człowiekiem skromnym, nie lubię nadmiernej zainteresowania. Takie zainteresowanie prze-

kreśla wszędzie życie prywatne, człowiek czuje się jak Bardołka, której każdy krok, ruch, słowo, uśmiech znajdują się pod obstrzałem jeśli nie aparatów fotograficznych, to przynajmniej ludzkich oczu. Nie mam o to pretensji do ludzi, rozumiem ich, chyba byłbym na ich miejscu taki sam. Ale jest mi z tym źle...

Rozmawiam ze studentem z Brazylii, który przyjechał do Polski robić doktorat z psychologii. Nazywa się **CARLOS MENDONCA**. Pracuje teraz w „Puchatku” nie nudzi się, czas po pracy spędza — jak sam mówi — przyjemnie. Był w lipcu na waju z znajomymi — w Syskach i w Moszczenicy. Pytam go o pierwsze wrażenia.

— Polska przyroda, polski krajobraz z rogatkami Łodzi. Wspaniałe łąki w kwiatkach — po raz pierwszy coś takiego widziałem. Bociany, wiewiórki — też po raz pierwszy. Przyjemność w zbieraniu grzybow i oczywiście w ich jedzeniu, są bardzo smaczne, także jagody.

Dla Carlosa rzeczą najważniejszą jest możliwość poznania Polski „od podszewki”.

— Polska wieś — mówi Carlos — pozostawia niezatarte wrażenie, zwłaszcza jej awans w ostatnim dwudziestolecu. Wszyscy mieszkańcy Moszczenicy — to w zasadzie chłopcy, ale pracują w miejscowej fabryce, znacjonalizowanej po wojnie bylej własności niemieckiej go kapitalisty. Porowolucyjny awans czuje się tu na każdym kroku, jedna z robotnic mówiła mi, że przed wojną komunizm był dla niej jak szatan, tak o nim myślała. Chciała się wówczas kształcić, nie było mowy, dziś jej córka jest już po wyższych studiach. „Teraz, panie, można żyć” — mówili mi ludzie. Warto było jechać do Moszczenicy, żeby to usłyszeć. Te proste słowa więcej mówią, niż układane hasła.

— Czy nie znalazłeś tam nic współczesnego, co by ci przypominało jednak Brazylię?

Carlos uśmiecha się.  
— Oczywiście, Brazylijscy i polscy chłopcy tak samo bawią się, bardzo zresztą sympatycznie. W Syskach byłem na wiejskiej zabawie. Tak samo jak u nas — niemato alkoholu, bójka jako punkt kulminacyjny...

— W sumie dużo zobaczyłem, wielu poznałem ludzi — a te rzeczy najbardziej cenię i choćby dlatego wakacje miałem — już teraz to mogę powiedzieć — bardzo udane.

Więcej i takie bywają owe „prywatne wczasy”. Jakże natomiast wrażenia wynoszą studenci zagraniczni z realizacji skierowań do domów FWP? Sa one dość jednoznaczne i to, co mi powiedziało na ten temat Y., stypendysta z Gujany Brytyjskiej, nie odbiega na ogół od innych.

— Przez dwa tygodnie przebywałem w domu wczasowym w Wiśle. O wspaniałej gościnności Polaków mówił mi budo, bo to rzecz wia doma. Najprzyjemniejsze były wycieczki piesze przez góry wśród naprawdę pięknych krajobrazu. Kwaterny, powietrze, byłv dobre, w ogóle widziało się dobrą organizację i troskę o wczasowiczów. Posiłki i wycieczki miały miejsce w ściśle określonym czasie, a ja właśnie wszelką punktualność bardzo sobie cenię. Ale mimo wszystko przyjechałem do waszego kraju na studia i wolalbym przebywać w wca-

sach w środowisku polskich studentów. W domu wczasowym mieszkali przeważnie ludzie starsi wiekiem, toteż trudno mi było często znaleźć z nimi wspólny język. Z drugiej jednak strony, ponieważ byli to robotnicy, miałem możliwość przekonać się nauce, że polscy robotnicy mają zagwarantowane prawo do wypoczynku w różnych atrakcyjnych okolicach kraju. Fakt ten najlepiej świadczy o podstawowej różnicy między dwoma systemami społecznymi, a więc także między Polską a moją ojczyzną.

A oto co mówi **BOUNTHONG MOULAPAMOK** z Laosu:

— Byłem w Międzyzdrojach. Atrakcji miałem dużo, szczególnie wiele dostarczyło mi morze — Laos nie ma przecież dostępu do morza. Jedynie, co mi popsuło humor, to fakt, że wszelkie wycieczki autokarami FWP były płatne. Z ośmiu cudzoziemców przebywających ze mną w Międzyzdrojach tylko jeden mógł sobie pozwolić na opłacenie tych wycieczek.

Zarówno Y., jak i inni pytani o to studenci potwierdzają, że z wycieczek autokarami, na pewno bardzo interesujących, trzeba było zrezygnować.

Nie dają mi jednak spokoju problemy poruszone przez Phyzula: te fatalne 10 tygodni, w ciągu których człowiek pograżony jest po uszy w nudzie wielkomięskiej kanikuly oraz nieprzyjemne dlań objawy zainteresowania jego „innoscia”, z jakimi spotkał się ze strony społeczeństwa polskiego.

Właśnie wrócił z Zakopanego **MIGUEL DOMINGUEZ**, jeden ze studentów kubańskich. Rozmawiamy w pośpiechu, bo Miguel jeszcze dziś wyjeżdża w góry i musi za chwilę załatwić jakieś sprawy związane z wyjazdem.

Miguel nie różni się kolorem skóry od nas, wygląda po prostu na dobrze opalonego, więc oczywiście nie mógł zwracać na siebie uwagi w takim stopniu jak Phyzul. Tym nie mniej pytam go:

— Jak reagowali Polacy na fakt, że jesteś cudzoziemcem?

— Reagowali tak, bracie, że lepiej sobie życzyć nie potrzeba. Na każdym kroku uprzejmość, sympatia, przyjaźń, gościnność, troska o nasze sprawy. Zresztą opowiem ci po kolei...

Jeszcze przed kilkunastu dniami Miguel nie mówił o tym z takim entuzjazmem. Pamiętam, jak przyjechał do mnie na obóz w Cichem na Podhalu. Był zmęczony i głodny, ale bodaj pierwsza rzecz, o której zaczął, to narzekanie na „cholerną biurokrację”. W drodze z Łodzi do Nowego Targu zatrzymał się na nocleg w Domu Turysty. Nie chcieli go przenocować, ponieważ: do ewidencji potrzeba daty urodzenia, ale nie takiej na słowo, a popartej dowodem osobistym. Miguel miał tylko legitymację studencką, w której daty urodzenia nie ma, oraz zaświadczenie dyrekcji Studium, że paszport został w Łodzi w celu uregulowania spraw meldunkowych. Daty urodzenia nie ma, bo nie ma paszportu — więc i noclegu nie będzie. Wiele nerwów kosztował go ten Dom Turysty, ale nocleg z trudem w końcu dostał. Teraz owego incydentu nie wspomina, jego wrażenia mają jednoznacznie jasną barwę.

— W Polsce można znakomicie spędzić wa-

kacje. Od miesiąca już podróżuję po całym kraju. Wpadłem do Łodzi tylko na chwilę, za parę godzin wyjeżdżam. Od 6 do 15 lipca wędrowałem z Felipe po Pomorzu Zachodnim, oczywiście autostopem.

Tak, autostopem. Kubańczycy bardzo szybko przyswoili sobie autostop, rozsmakowali się w nim. Nie unikają trudów, potrafią nawet znaleźć w nich przyjemność. Wielu z nich przeszło twardą szkołę życia w ochotniczej milicji kubańskiej, wielu pracowało fizycznie. Jeszcze w czerwcu, przed końcem roku szkolnego, niektórzy Kubańczycy mieli za sobą 1000 km polskich szos przebytych autostopem i zwiedzono m. in. Targi Poznańskie.

— W Bydgoszczy — kontynuuje Miguel — przebywałem na zaproszenie dwóch Polaków. Jednego z nich, lekarza, Felipe poznał w łódzkim szpitalu, gdy był chory. Nasz gospodarze oprowadził nas po całym mieście, poznał mi historię Bydgoszczy i jej dzień dzisiejszy, bywałem w lokalach. Gościnność naszyca znajomych — jak wszystkich zresztą spotkanych Polaków — była wprost niezwykła. Potem był Białogard, wieś Rąbino, w Rąbinie trudności z noclegami z których wydosłał nas kierownik miejscowej mleczarni. Spailiśmy w jego domu. Trzy następne dni — to Kołobrzeg, tam nowe trudności. Paszporty trzeba było zostawić w Łodzi, a legitymacje studenckie nie uprawniają, jak się okazało, do podjęcia oszczędności z PKO. Nie mieliśmy pieniędzy nawet na wyżywienie. Z odsieczą znów przyszli Polacy.

— Gdy wróciłem do Łodzi — oczekiwało mnie tu już zaproszenie do odwiedzenia obozu szkoleniowego instruktorów zachowawczych z Łodzi, który znajdował się w podhalańskiej wsi Ciche. Byłem tam tydzień — tydzień spędzony w towarzystwie bardzo sympatycznych dziewcząt i chłopców. Z tego obozu mam najgłębsze przeżycie i jedno pragnienie: mieć możliwość co roku w czasie wakacji wracać pod harcerski namiot. Nigdy nie zapomnę, jak 26 lipca — w dzień święta narodowego Kuby — podczas apelu porannego poproszono mnie do pocztu sztandarowego i jak wciągałem polską flagę na maszt.

Następne dwa tygodnie — to pobyt w Zakopanem, dokąd kilku z nas, Kubańczyków, otrzymało skierowania. Anj przez chwilę nie czuliśmy się tam osamotnieni, spotykaliśmy bowiem naszych „rodaków”, łodzianki i łodzian. Do Zakopanego też bym chciał wracać co roku, zobaczyć jej zimą, jest wówczas chyba piękniejsza. Na razie to wszystko. Jedno jest pewne — lepszych wakacji być nie może, tak jak nie może być sympatyczniejszych ludzi od naszych przegodnych znajomych.

Rzeczywiście, Miguelowi można tylko szczerze zazdrościć jego inicjatywy, aktywności i przeświadczenia pełnego młodzieńczego optymizmu, że trudności po to istnieją, by życie było pełniejsze.

Takie są wakacyjne życiorysy i wrażenia studentów zagranicznych — na pewno nie w pełni reprezentatywne, ale do tego trzeba by socjologicznej ankiety. Ale i z zanotowanych rozmów wynika, że często ich organizacja pozostawia wiele do życzenia.

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

## ŁÓDZKIE XX-LECIE

### PAWILON „ANILANY”

**MYŚL:** Stworzenie warunków wypoczynku — to sprawa równie ważna jak stworzenie odpowiednich warunków pracy. Tą myślą kierowali się zapewne twórcy ośrodka „Anilany”.

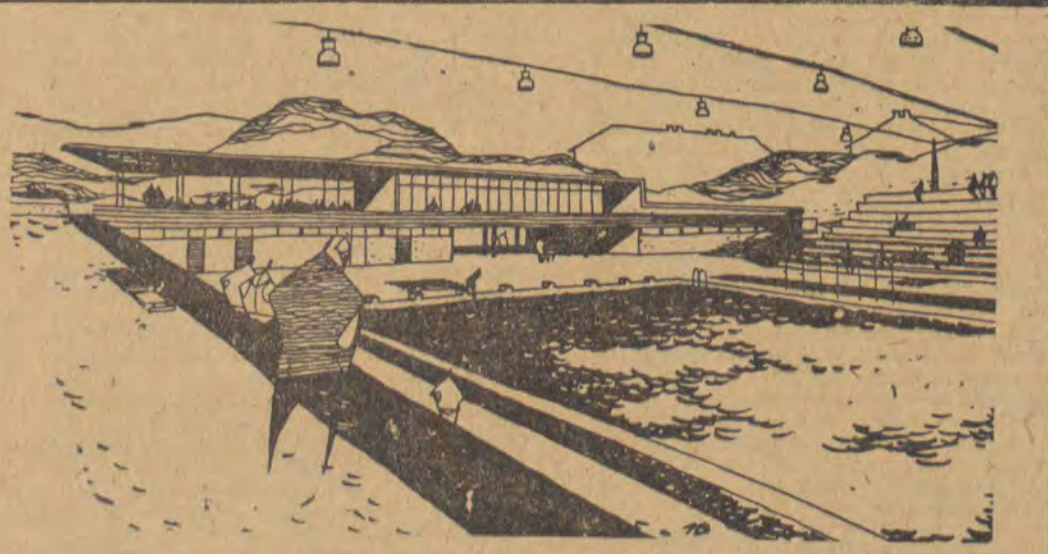
**DANE:** Pawilon szatniowo-kawiarniany przy kąpielisku Klubu Sportowego „Anilana” na Widzewie (ul. Sobolowa 1) rozpoczęto budować w IV kwartale 1960 roku. Obiekt oddano dnia 17 lipca 1964 roku. Kubatura pawilonu wynosi 4.900 metrów sześciennych.

**KOSZT:** 4 mln. 600 tys. zł.

**PROJEKTANT:** mgr inż. A. Kiciński.

**WYKONAWCA:** PP „Betonstal”, Warszawa, Oddział w Łodzi.

RYŚ. MGR INŻ. ARCH. SŁAWOMIR ARABSKI





## MGR ZOFIA BARTNICKA

Przewodnicząca Sądu dla Nieletnich  
dla m. Łodzi.

Bohaterka reportażu — Bronka — ma rodziców, którzy nie zapewni jej warunków należytego rozwoju i wychowania. — Takie rodziny nazywamy moralnie zagrożonymi.

Artykuł 35 kodeksu rodzinnego tak określa obowiązki rodziców wobec dzieci: „Rodzice sprawują pieczę nad osobą i majątkiem dziecka. Obowiązani są troszczyć się o fizyczny i duchowy rozwój dzieci; powinni starać się o ich utrzymanie i wychowanie tak, aby były przygotowane należycie do pracy dla dobra społeczeństwa, odpowiednio do swych uzdolnień”.

A jak te obowiązki rodzice realizują?

Oczywiście nie generalizujemy. Są rodzice, którzy wychowują dzieci nawet i wtedy, gdy już osiągną one pełnoletność. W niektórych rodzinach wychowanie dziecka sprowadza się do zaspokajania jego potrzeb fizycznych. Natomiast troska o duchowy rozwój dziecka nie jest realizowana. Kiedyś dziewczynka, uczennica jedenastej klasy Liceum Ogólnokształcącego, mieszkająca w jednym pokoju z rodzicami, którzy zupełnie nie dbali o jej sen, wypoczynek i naukę, a wymagali pracy w domu, powiedziała do mnie: „prze- szę pani, my mieszkamy pod jednym dachem i nas nie ze sobą nie łączy, żadne uczucie.” W końcu z domu uciekła.

Są wreszcie takie rodziny jak Bronki. Sprawa ta jest szczególnie nar- brzmiąca w stosunku do dziewcząt. I w naszym mieście są Bronki, których nie wychowuje ani ojciec, ani matka, z przyczyn obiektywnych czy subiek- tywnych.

Dziewczęta psychika jest podatniejsza na obce wpływy, często wystarcza podsunęty pierwszy kieliszek. Często dziewczęta demoralizują się, a rodzi- ce nie nie dostrzegają. Do Sądu Opiekunczego zgłaszają się tylko wówczas, gdy córka jest w ciąży, albo chora wenerycznie.

Grozy tego problemu nie dostrzegają nie tylko rodzice, ale często i wła- dze oświatowe naszego miasta.

Od wielu lat na wszystkich możliwych naradach, konferencjach i zebrani- ach, zabiegamy i prosimy o zorganizowanie na terenie naszego miasta zakładu dla dziewcząt moralnie zagrożonych, dla tych wszystkich Bronek, Ma- ryś, Kryś, które nawet popełniają zamachy samobójcze.

A może po przeczytaniu tego reportażu żywym stanie się problem właści- wego wychowania i opieki nad dziewczętami, którym się nikt nie zajmuje.



Fot. J. Rydzewski

Bronka — bohaterka naszego reportażu ma 16 lat. Od trzech lat uprawia prostytutkę. Matka, która ją do tego zmusiła, jest na- logową alkoholiczką, prowadzącą od lat rozwiazły tryb życia. Ojciec dziewczyny siedzi w więzieniu za kradzież. Bronka mieszka w ma- łym liczącym kilka tysięcy miesz- kańców mieście, uprzemysłowi- onym, o stosunkowo wysokim stan- dardzie życiowym.

Najbliższa sąsiadka Bronki, ko- bieta ok. 50 lat — nie pracująca, która wiele wie i milczy. Ograni- cza swoje wypowiedzi do prywat- nej rozmówki — wyłącznie.

Takie dziecko, panie, i z takim starym dziadem, albo z innymi. Albo żeby wód- kę takiemu dziecku dawali. Jak człowiek na to patrzył, to aż się serce kroilo z ża- lu. Młodszy ze wstydu uciekł, bo już nie mógł wytrzymać. A ojciec powiedział, że jak wróci, to starą za córkę zabije. Co się tu wyprawiało, niech to ręka boska bron! A? pewno, że widziałem, wszyscy widzieli, nieraz to niechęć, przez okno. Teraz wcale tam nie chodzę, bo jeszcze by się co świńskiego znów zobaczyło.

Co, do milicji, do prokuratora? Żeby mnie potem kto sztańcają zaprawił, dziękuję. Chłopy się boją, a ja prosta ko- bieta będę się wtrącać do takich bru- dów i zadierać z mętami? Jeszcze mi życie miłe. Niech się inni tym zajmą.

### JOZEF H. WISNIEWSKI

# BRONKA MUSI STAD ODEJŚĆ

Ja już nie pamiętam pierwszego, to było dawno i spiliam na trupa. Czło- wiek pijany to nawet nie wie z kim i właściwie wszystko mu jedno, bo i tak się nie wie. Ile miałam lat? Chyba trzy- naście, ale dokładnie nie pamiętam. Matka kazala, to co miałam robić. Robota, co mi ją dali ostatnio, była fajna, ale mało placili. Ukradłam ten zegarek — wcale nie. A może ukradłam, bo byłam zapita. Zresztą on też był zapity i może go stracił po drodze, a potem powiedział na mnie. Albo tylko zdjął zegarek u mnie i nie wiedział gdzie położył, no to zna- leźli i powiedzieli, że wzięłam, a zresztą co to kogo obchodzi. Jak się człowiek zapije, to mu się zdarzają różne rzeczy.

Ojciec? A siedzi, z roboty coś zasunął. Nie czwarty, wcale nie czwarty, trzeci raz. Matka ma chłopca, przyszedł do niej, lubią popić oboje.

Kiedyś pewno, że nie chciałam, ale te- raz mi wszystko jedno. Każdy ważny, jak ma forszę w kieszeni i może gadać takie różne rzeczy, a jak ojca zabrali, to nie było co jeść, bo matka wszystko tylko na wóde i na kochanków brała. Nam nawet na jedzenie nie starczyło. Jak się zaczęli schodzić, to matka mnie też kazala. Jak nie chciałam, to mnie biła, a potem dru- gi raz, to mnie zapili i sama nie wie- działam i już mi było wszystko jedno.

Młodszy brat Bronki — ukoń- czył 6 klas szkoły podstawowej, u- siłował zbiec z domu. Schwytany w drodze przez organa MO został sprowadzony do domu i oddany pod opiekę matki.

Wszyscy mówią o niej i o matce, to co ja mam robić — chłopaki się ze mnie nabijali i gadali o mnie takie różne rze- czy.

Jak skończę szkołę — zaraz do wojska pójdę i zostanę, bo już tu nie chce mi się wracać. Tak, pani jest dobra, załat- wiła mi to dożywianie, ale za mało, a w domu to one tylko piją i żrą z tymi, co przychodzą, a mnie wyganiają. Ze- bym tylko w przyszłym roku skończył tę podstawówkę, może by mnie wzięli do jakiego internatu. Brat na wszystko ma- cha ręką. Jest silniejszy, to o nim nie mówią.

Stary O., 60-letni mężczyzna, sta- ly gość w domu Bronki. Jest ta- jemnicą publiczną, że żyją z sobą.

Co ja będę mówił, ludzie różne głup- stwa wygadują, a przecież ja mam już własne wnuczki, a Bronka dopiero 16 lat. To nieprawda. A że chodzę? Może już człowiekowi do znajomych nie wolno zajrzeć. Starszemu człowiekowi takie nie- przyjemności robić — wstyd...

Przewodniczącą Prezydium MRN gdy się dowiedział o dziewczynie podjął wysiłki w celu przyścia jej z pomocą, jeździł w sprawie Bronki do sądu w Łodzi i wielokrotnie interweniował.

Załatwiliśmy jej internat, no to ucie- kla i matka starała się ją ukrywać, mó- wiła wszystkim, że nie dopuści, by jej zabierali dziecko. No... myśleliśmy, że kiedy sobie znalazła mężczyznę... Spo- dziwaliśmy się, że będzie z tym jed- nym, ale on pije, ona zdaje się też tego popija, więc wzajemnie tolerują swoje sprawy.

Małej daliśmy pracę i ja w imieniu rady miejskiej pojechałem do sądu. Do- zór kuratora i matki. Wiedzieliśmy, że to jest niewystarczające i sąd przepro- wadził rewizję wyroku na naszą inter- wencję. Czekała przy matce, ale tylko chwilowo, miała być zabrana do „Do- mu Dziecka”. Interweniowaliśmy u władz, bo do dziewczyny znów przycho- dził stary O. i inni. Kiedyś jej odra- dzali, ja i sekretarz, kiedyś tłumaczyli, że ma już pracę i pomożemy jej zorganizować sobie inne życie — przy- mowała to życzliwie i nagle ten straszny wypadek. Zabrało ją pogotowie, odrato- wali, zrobili płukanie żołądka, a potem słyszałem, że gdy wróciła do domu, za- raz odwiedził ją O. Nie, nie mamy spo- sobu, żeby temu zapobiec. W przeszłości

bić badania psychiatrycznego. Ten brak hamulców, ekshibicyjny wyznania wobec każdego. Ze też nie można jej było wcześniej zabrać do „Domu Dziec- ka”!

Młody robotnik, kolega pszko- dowanego, któremu Bronka skradła zegarek kiedy spał z nią po pijatyce

Waldek mi mówił, jak to wtedy było. Pokłócił się z żoną i pił parę dni. A po- tem spotkali się z Antkiem i Bronką. I wtedy ona sięgnęła mu zegarek. Chłop- ak się przestraszył, bo „Atlantic” był oń- teścia — nowy, na rocznicę ślubu dostał i dawaj na milicję. Znaleźli ten zegarek i była sprawa w Łodzi.

Mieliśmy „ubaw”, że on poszedł na ta- kie rzeczy i że tak podpadł. Bo to się zaraz rozniosło po całym kombinacie. Te- raz, jak się ośmieje do jakiej dziewczyny, to każda ma mówi, że nie chce robić konkurencji Bronce.

Myślę, że powinni starą chyba zamknąć za to, że tak dziewczynę zmarnowała.

Jadwiga — dziewczyna z „dobre- go domu” — na wydaniu, córka bogatego rzemieślnika, dawna ko- leżanka Bronki, nie pracująca.

wróżce też były bezsilne, ludzie wzbra- niali się świadczyć, a kiedy szukaliśmy dowodów — znaleźli się nawet tacy, któ- rzy potrafili ich ostrzec.

Znów interweniowaliśmy, jutro se- kretarz komitetu będzie w Łodzi, jesz- cze raz wpadnie do sądu, bo sytuacja jest w tej chwili tragiczna. Zresztą wi- działem sam, że dziewczyna jest nie ty- lko chora, ale i zdegenerowana, tym alko- holem i tym co robiła. Rozmawiałem z lekarzem i nie wiem czy nie trzeba zro-

A ja to się specjalnie Bronce nie dzi- wie, dziewczyna nigdy nie miała pienięd- zy, chodziła w starych sukienkach prze- rabianych po matce, albo w jakichś ostat- nich łachach. Mój tatuś daje mi zawsze trochę pieniędzy, dawal mi je nawet, kie- dy byłam mała. Tak, to prawda, że ta- tuś ma warsztat, ale jej ojciec też miał pieniądze, jak pracował w kombinacie, ostatecznie mógł nie pić i nie kraść. Ba- wiliśmy się z Bronką i łalkami, jeszcze kiedy byliśmy małe, a potem to już każ- da poszła swoją drogą. No, nikt mi chy- ba nie może mieć za złe, że się z nią teraz nie spotykam. No i ta jej opinia — co by ludzie powiedzieli, gdybym się z nią zadawała. Zresztą moi rodzice, by nie pozwolili. Po prostu popsula sobie opinię i wszyscy w mieście o tym wiedzą, ona powinna chyba przemyśleć się, gdzie in- dziej. No tak, będzie taka sama — wia- domo, ale opinia, to co ludzie o kimś wiedzą i co o kimś mówią ma bardzo wielkie znaczenie.

Miejscowy „podrywacz”, który zna Bronkę od dawna, ale nie utrzy- muje z nią żadnych kontaktów. Właściciel najmłodszego w mia- steczku stroju, bożyszcze dziew- cząt, chłopak, który „musi się wy- szumieć”.

My to z chłopakami lubimy podrywać, dlaczego nie, jak tylko „dobra sztuka”, to się zaraz „wsiada na kółko” i babka musi się odezwąć, a jak się już odezwie — to prawie nasza. Albo się idzie na „potańc” i szafa gra — zawsze się coś podłapie. Jak tu nie, to gdzie indziej, autobusy jeszcze kursują, koleje też.

Bronka to taka więcej „lewa”.

Mowa jest krótka — chciała tego, „lek- ki chleb”, to się urządziła. Przestało się podobać, no to próbowała zrobić wyśiad- kę z tego świata. Dobra była, bo teraz to już taka trochę przenicowana i szmer- gielek jakiś, coś tam w makłowce nie gra. Ale tak na oko jeszcze obleci. Była cwana, ale podpadła z tą „cebulą” — „poprawczak” i załatwiona.

Trzydziestoletni robotnik z „Kom- binatu”, który zna sprawę Bronki z opowiadań.

Nie, nie znam, ale słyszałem. No mó- wili, że to taka. Myślę, że z 17, może więcej lat. Ludzie mówią o różnych rze- czach — można wierzyć, można nie wie- rzyć. Mieliśmy ostatnio więcej pracy, niż kiedykolwiek. Zobowiązania produkcyj- ne, prace społeczne, no prywatnie też człowiek zajmuje się różnymi sprawami — nie bardzo jest czas na cokolwiek. To chyba sprawa, którą powinny się zająć odpowiednie władze.



# Tak cię wspominam



Rys. Vincent Hložník

Gdzieś w Polsce to się zdarzyło, w czterdziestym czwartym. (Do diabła, jak pazywało się to białoruskie zadupie, otoczone wokół bagnami i olszyną?) Kolumna samochodowa Szorszi Stoppera oderwała się minionej nocy od nieprzyjaciela i po niesamowicie męczącej jeździe przez grzęzawiska przybiła tutaj późnym popołudniem. Można było liczyć na parę godzin wytchnienia. Załogi ulokowały się w nielicznych chałupach.

Rottenführer „Jürgen”. Stopper siedział w jednej z lepiank przy chwilejającym się stole i patrzył przed siebie tępo, bezmyślnie, nieludzko strudzony. Oczyścił właśnie pistolet i złożył ponownie. Chłopi uciekli. Można było więc rzucić się na wyrka lub zakurzone owce skóry rozciągnięte nad niskim piecem. Ale nie, lepiej nie! Dość miało się własnych pechów. Po co jeszcze cudze pluskwy? No więc: trzeba przynieść stomy i wymościć stwardniałymi glinę potępy. Jego koleży, szturmowcy Schneider i Havelka, zarzucili karabiny przez plecy i poszli do stodoły z widłami od siano.

— No? Cóż tam znowu? — Ktoś szedł spleśnie przez podwórze i w chwili potem Havelka rozwarł nagle drzwi. Zamiał snopka słomy, trzymał w ręku karabin.

„E, wyjdź że no, Jürgen! Ale mięciem!” — wrzasnął i wybiegł nie zamykając za sobą drzwi.

Szorszi chwycił za broń i wypadł na podwórze. Przed otwartymi wrotami stodoły stał szturmowiec Schneider, trzymając pod łufą w szachu dwie kobiece, które z podniesionymi rękoma, drżąc, operowały się o skrzydło bramy. Jednej z nich ześliznęła się chustka z białych krótkich włosów i z ciekłej rany tuż pod lewym okiem spływała ciekłym krew po udreconej, zmątwiałej twarzy. Druga kobieta, pozornie nieco młodsza miała na sobie znoszony niebieski płaszcz deszczowy. Obie były siwe, ze śladami głodu i ledwie trzymały się na nogach.

„Gdzieście je przyskrzynili?” — spytał Rottenführer Stopper, nie okazując żadnego zainteresowania. Cywile z podniesionymi rękoma, wpatrzony nieruchomo w wyłoty łuf, to nie był wcale obrazek niecodzienny.

„Leżały sobie w słomie i ani drgnęły, jakem jednej przejechał widłami po głowie” — opowiadał Havelka, obmacując jednocześnie kobiety po kieszeniach, by się upewnić, czy nie miały czasem broń. — Ależ zoczył sobie ten niebieski płaszcz pod słomą...” — dodał jeszcze i zdjął kobiecie, ubranej w płaszcz, worek z chlebem.

„A co teraz?” — krzyknął Schneider. — „Jak długo mam tu sterczeć przed tymi czarownicami, co? No, dawaj już jakiś rozkaz, Jürgen!”

„Zaprowadź je do chałupy” — odburknął

Rottenführer i zrobiwszy jakiś znak dał kobietom do zrozumienia, że powinny ruszyć w tym kierunku. Ale i bez tego zdawały się pojnować tok rozmowy, przynosząc zalekniomy wzrok z jednego na drugiego mężczyźną, przypominających raczej chłopców. — „A ty, Havelka, skocz do Sturmführera i zamelduj mu o tym”.

„Nie widzi mi się to potrzebne” — ociągał się ten, kiwając głową. — „Przecież to jasna sprawa. Podprowadź pod kupe gnoju, trach, trach, i koniec pieśni. Takie ceregiele z dwoma.”

„Odmaszerować, szturmowiec Havelka! Porządek musi być!”

Nie było żartów z Rottenführerem Stopperem, kiedy miał służbę. Dziecko, zwane Havelką, wymiotło się zaraz, poruszając się jak młody kundel. Tymczasem kobiety weszły pod eskortą Schneidera do chałupy i stały nadal z podniesionymi rękoma, gdy zjawił się młody Stopper.

„Opuścić ręce” — powiedział, po czym położył na stole gotowy do strzału pistolet. — „Popatrz, Günther, zdążymy na czas ze słomą, zanim zrobi się ciemno” — zwrócił się do Schneidera — „Ja już je dopilnuję”.

„Jak myślisz, Jürgen, nie trza by je związać?”

„Nie potrzeba. Dam sobie radę”.

Dziecko, zwane Güntherem, opuściło izbę. Było zupełnie cicho. Słyszało się świszający oddech kobiet i szelest gazety, z której Rottenführer robił sobie skręta. Z dworu dochodziły oddalające się kroki Schneidera.

„Szorszi!” — rozległ się nagle spod ścian, ledwie słyszalny szep. Chłopak wypuścił ze zdziwienia na stół trzymany w ręku skręta i spojrzął z niedowierzaniem w stronę kobiet.

„Szorszi!” — powiedziała jedna z kobiet nieco wyraźniej. — „Czy mnie już nie poznajesz?”

Chłopak milczał, przecierając oczy. Czy to możliwe? Skąd się wzięła tutaj ta czelodna pani? I czy mogła to być właśnie ona? Ta wyglądała znacznie starszej niż owa pani, którą znał z czasów dzieciństwa — posiadała zupełnie. Uprzytomnił sobie całkiem dokładnie, że ta z Feichtensattel miała jednak ciemne włosy.

„Pomóż nam, Szorszi” — szeptała kobieta — „pozwól nam uciec. Pomyśl o twojej matce i o babce Edenweber...”

Tak, to ona. Powoływała się na jego rodzinę. W domu odnoszono się do tej pani z takim szacunkiem, szczególnie prababka!

„Twoi bardzo mnie lubili” — słyszał teraz jej słowa. — „Na tydzień przed moim wypędzeniem z Wiednia przysłali mi paczkę...”

„Milczeć” — warknął cicho, z zewnątrz słychać było zbliżające się kroki.

Wszedł Schneider, rzucił snop słomy na podłogę i wyszedł zaraz, nie spojrzawszy na kobiety.

Rottenführer Jürgen Stopper zaczął chodzić nerwowo wzdłuż i wzdłuż izby. Co tu robić? Przysiąc się, że był rzeczywiście owym Szorszi, synem Genowefy i wnuczkiem pani Edenweber — i że poznał panią Gelernter?

„Jest już ciemno, Szorszi, Nikt nie zobaczy. Możesz strzelić w powietrze a my pobiegniemy do lasu. Nikt cię o to nie spyta, a jutro rano będziecie już daleko” — dochrzył szep pod ścianą.

Rottenführer milczał. Chwilę milczała też kobieta.

„Czy pamiętasz jeszcze porcelanowy zegar z niebieskimi wiatrakami, który wisiał w waszej kuchni?” — zaczęła znowu. — „Byłeś tak dumny, że przedzie nauczyłeś się korzystać z zegara niż twój rówieśnik. — A twoja koza, Szorszi, prosiła mnie, bym wymyśliła dla niej imię. Nazwaliśmy ją Honka. Bardzo ci się podobato to słowo...”

Zamilkła, gdyż znowu pojawił się szturmowiec Schneider z nareczonym stomy.

„Pewnie już starczy?” — spytał.

„Nie” — mrknął Jürgen i wyjrzał z kłopotany przez okno, chociaż na dworze nie już nie można było dostrzec Schneidera się oddali.

„Szorszi! Tak cię wspominam!” — powiedziała półgłosem i uchwyciła przechodzącego za ramię.

„Puścić!” — odburknął i pohnął ją tak silnie, że potoczyła się pod ścianą. — „Niech pani się zamknie! Nie znam pani, nigdy pani nie widziałem! Zrozumiano?”

Druga kobieta z krwawiącą jeszcze raną, otworzyła z wysiłkiem powieki, które przez cały czas miała zamknięte. Zmierzła go długim badawczym spojrzeniem, pozbawionym, zdawało się, najmniejszego łęku. Po czym pochyliła z rezygnacją głowę, zbliżyła się nieco do swej towarzyszyki i powiedziała z trudem, przez zęby — „Prześtań, Jenny. Nie ma sensu”.

Wydawało się jednak, że ta straciła wszelkie panowanie nad sobą. Drżała na całym ciele i zaniosła się spazmatycznym płaczem.

„Ciągle spotykaliśmy się z obcymi i... i... pozwalali nam żyć” — szlochała. — „Ale jego znam przecież od urodzenia. Jego matce podarowałam czepek, w którym był chrzczoney. Sprawiliam go dla własnego dziecka, które urodziło się niedługo. Przypatrz mu się, Aglaja, jeszcze teraz jest dzieckiem!”

Lecz druga kobieta nie zwracała już uwagi na to, co się wokół niej działo. Przymknęła oczy, a jej wargi poruszały się w niemej modlitwie.

„Masz osiemnaście lat, Szorszi!” — błagała pani Gelernter. — „Chcesz to rzeczywiście wziąć na siebie? Jak powrócisz, na wzgórze we wschodniej Styrii?” — Nie dokończyła zdania, bo znowu ktoś szedł przez podwórze.

Ja przecież nie będę mieszkał na Feichtensattel, myślał młody człowiek. A co to znaczy „wziąć na siebie”? Ja nic nie biorę na siebie. Służba nie służba. A rozkazy muszą być wykonywane. Obcy element, który nie potrafi się wylegitymować, jest rozstrzelwany, a ja ogóle żyję. Teraz jest wojna, a ja nie jestem już Szorszi, lecz SS Rottenführer Jürgen Stopper.

Wszedł Havelka.

„Co jest?” — spytał Jürgen.

„Przecież bez tego łażenia było jasne” — rzekł nadający żołnierz, robiąc jednoznaczny ruch strzału w tył głowy. — „Sześć wściekł się ino, że mu się przeszkażda”.

Kobiety wstrzymały oddech. Szorszi skreślił jeszcze jednego papierosa, aby nie patrzeć w ich stronę.

„Ach, zrobił ze to, proszę” — powiedział po chwili bardzo uprzejmie i uśmiechnął się do kolegi. — „Dopiero co przeczyszcłem pistolet”.

„Niby czemu to ja? Ty jesteś przecież Rottenführer!”

„No idź już, Willy, idź! Połóżysz się za to zaraz, a ja obejmę wartę”.

Havelka wzruszył wąskimi jak u dziecka ramionami. Zaraz się położył, to była necna pokusa.

„No, zrobił się!” — odburknął. I zwracając się do kobiet. — „Zabierać się, marsz!”

Stara z krwawiącym policzkiem poruszała się natychmiast i milcząco przeszła przez próg. Druga natomiast uniosła rękę jeszcze błagającą rece i krzyknęła przelkliwie, z rozpaczą:

„Szorszi! Szorszi! — Szorszi!”

„Co gada ta żydówka?” — spytał zdławiony Schneider, wchodzący w tym momencie z ostatnim snopem słomy. — „Kapuiesz o co jej chodzi?”

„Niee” — mrknął Rottenführer; wpał kował rece do kieszeni i odwrócił się.

„Mam może jeszcze rozumieć nebrajski szwargot?”

W pół minuty później rozległy się dwa strzały.

Powrócił szturmowiec Havelka, postawił broń przy ścianie i rzucił się na słome obok Schneidera.

„Śmierzące gówno!” — warknął. — „Mam, już dość tej mokrej roboty”.

A widząc, że ci dwaj milczą, ciągnął dalej. — „No powiedz sam, Jürgen, po jaką cholere byś dobrym. Tak czy inaczej musimy jutro stąd wyrwać. Świat by się nie zawalił o te dwie stare baby, co?”

„Ach, zamknij się wreszcie, czas spać” — ziewnął Schneider. „Kto wie, jak jutro pójdzie”.

Rottenführer Stopper siedział milcząc przy stole, odwrócony do nich plecami. Na dworze jest całkiem ciemno, myślał. Ten idiota mógł przecież strzelić w powietrze.

Przełożył STANISŁAW KASZYŃSKI

Oskar Jan Tauschinski, pisarz austriacki, ur. 8 czerwca 1914 r. w Zabokrukach (dawna Wschodnia Galicja), dzieciństwo w Wiedniu i we Lwowie, lata szkolne — 1922—1933 — w Gdańsku, ostatnie trzy klasy gimnazjalne w polskim języku. Od marca 1933 r. znowu w Wiedniu, dyplom w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego. W 1938 r. ucieczka do Polski, we wrześniu 1939 r. walczył po polskiej stronie, dostaje się do niewoli, zwolniony w 1940 r. Pracuje w Wiedniu jako urzędnik aż do aresztowania w 1944 r. przez Gestapo za przekonania filosemiczne i antyfaszystowskie. Po wojnie uprawia ceramikę, zaczyna pisać i przekładać z języka polskiego i angielskiego. Jest czynny jako działacz studencki i redaktor szeregu czasopism. Publikacje: „Talmi”, powieść, 1952 „Kto jest ta pani?” (Wer ist diese Frau?) powieść o Marii Curie-Skłodowskiej, 1955 (wznawiona w 1957 i 1960 i tłumaczona na kilka języków). „Opowiadania dzwuczonne” (Zwiefelchige Geschichten), 1957, „Inwentarz” (Inventur), sztuka, 1958. S. K.

**Na  
KAMACH  
PRASY**

TWÓRCZOŚĆ

Artur Sandauer w szkicu „O człowieku, który był diabłem”, szkicu skonstruowanym na zasadzie ambiwalencji próbuje skreślić sylwetkę najbardziej kontrowersyjnego skamandryckiego poety Juliana Tuwima. Pisze on, że kiedy śladem tylnych krytyków chce się dopatrzeć w Tuwimie radone-

go witalizmu, powierzchownego kabareciarstwa... wyściga chwila namysłu, aby dojść do wniosku, że... tyleż w nim witalizmu, co tragizmu, powierzchowności co głębi... Tyle Żyda co Polaka, kabareciarza co metafizyka, witalisty co moralisty. Zmienność postaw i tonacji stapia się wreszcie w „Balu w operze”. „Jest to jeden z najświetniejszych wierszy Tuwima, gdzie kabaret zespolony z metafizyką daje wreszcie ową — postulowaną przez Boya — pełną fizjonomię poety” — pisze Sandauer — „Kabaret przerasta tu... w Apokalipsę... wszystko dokonuje się w okrutnym lśnieniu wizji poetyckiej”. Sprzeczność tonacji była siłą Tuwima. „Ostatnie lata jego życia — od powrotu ze Stanów do śmierci — to okres gorączkowej na pozór działalno-

ści... Jeden z autorów wspomnień o nim nazywa powojenną chęć „włączenia się w nurt” „samobójczą”. Nie sposób zaprzeczyć, że wiersze obecne ani umywają się do dawnych. Rozdzierające go kiedyś sprzeczności znikają. Nie jest już ani Żydem-Polakiem, ani dręczonym wyrzutami drobnomieszczaninem, ani witalistą-łękowcem; jest autorem ze wszech miar pozytywnych artykułów — akceptowanych przez władze, przyjętym przez społeczeństwo. Nie jest już jednak poetą”.

© Andrzej Kijowski w szkicu „Granice literatury” opisuje rozkład gatunku powojennego; początek tego zjawiska widzi w romantyzmie, od kiedy literatura, chcąc być czymś więcej niż literaturą, przypisuje sobie walory quasi-mistyki czy quasi-nauki, uznaje się za

swoiste poznanie bytu, za obdarzoną szczególnym darem jego poznania, wreszcie utożsamia się z bytem, określając się w ten sposób jako coś co jest stosunkiem do rzeczywistości, a nie do kultury. Na tym tle — devaluacji kolejnych ideologii literackich, ruchów awangardowych — literatura doprowadzona została do konsekwencji ostatecznych i osiągnęła stan zerowy. „Bogata w doświadczenie okresu autodestrukcji dokonanej w imię natury, życia, rzeczywistości, winna — wedle słów Gastona Bachelarda — „odwrócić umysł od tego, co rzeczywiste, do tego, co sztuczne, od tego co naturalne, do tego co jest ludzkim tworem”. Skończyła się rola pisarza-dyletanta w materii kultury, znawcy w materii życia. Jeżeli literatura chce uzyskać utraconą godność

humanistyczną... musi utożsamiać się z kulturą, przywiązując do siebie cały ciężar, uznając ją za jedyną rzeczywistość zrozumiałą”.

© Poza ciekawymi wierszami Zbigniewa Herberta warto odnotować jeszcze opowiadanie Jerome'a Davida Salingera „Wyżej podnieście strop, cieśle”, opowiadanie Elżbiety Drzewińskiej „Osmy krąg”, a wśród recenzji Tomasa Burka o Truchanowskim. Burek mówi o tym autorze: „W epoce, co widziała tyle zdrad artystycznych, tyle cynicznej niewierności — ciągłość pisarskich zainteresowań Truchanowskiego, jego piękna bezinteresowność są do prawdziwej porażki. Od trzydziestu lat jest on wierny własnej problematyce, własnej inklonacji stylistycznej, swojej metodzie i swojemu prawdzie. Od „Ulcy

wszystkich świętych” po „Tyranie” kontynuuje, rozwija, wzbogaca własny model powieści. Nie pisze książeczek, pisze Książkę”.

POLITYKA

© Najciekawsze, jak zwykle w tym piśmie, materiały amerykańskie, tym razem Stefana Wilkosza „Sześć dziesiąt niebezpiecznych dni” dotyczące okresu przedwyborczego w USA.

© Z reportaża bardzo wart przeczytania „Osmy przypadek — Wyryźnik” Janusza Rolickiego i Krystyny Świątnickiej.

© Interesujący esej Zygmunta Kałużyńskiego o „Wilczym bicie” Bohdziewiczów oraz Tadeusza Dobrowolskiego spór z znanym francuskim teoretykiem Rogerem Garaudy w odniesieniu do zagadnień malarstwa współczesnego.

OBSERWATOR



# Plotki z HOLLYWOOD

Rok bieżący wydaje się być pomysły dla stolicy snów. Widmo kryzysu powoli znika z atelier Hollywood. Tylko do końca maja ukończono realizację 104 filmów, co oznacza wzrost produkcji o 23 proc. w stosunku do roku ubiegłego. Warto przypomnieć, że w ciągu całego 1963 roku Hollywood wyprodukowało tylko 163 filmów. Zatem różnica kolosalna. Na pełnych obrotach pracują znani mistrzowie Billy Wilder, Delbert Mann, Richard Quine, William Wyler, Richard Brodus kończy adaptację „Lorca Jima”, Robert Wise nowy barwny musical „Dźwięki muzyki”, a Vincente Minnelli „szampańska” (jak zwykle u niego) komedie „Do widzenia Charlie”, Otto Preminger przygotowuje film o wojnie na Pacyfiku „Na drodze zła” z udziałem J. Wayne, K. Douglas i P. Neal. Robert Aldrich szykuje nowe „wstrząsające” dzieło „Sza... sza, słodka Charlotte” z Joan Crawford i Bette Davis, Stanley Kramer kreśli „Statek szaleńców” z Vivien Leigh, Simone Signoret i Jose Ferrer, John Ford, który parę miesięcy temu ukończył film o słynnym szeryfie Wyatt Earp, realizuje obecnie film o młodości znanego pisarza irlandzkiego Sean O'Caseya, Alfred Hitchcock kreśli „Wyspa, która lubi być widziana”. Kilku reżyserów m. in. John Sturges i Sidney Lumet pracują nad filmami z rodzaju science-fiction. A więc się kreśli, Hollywood pracuje peł-



na parą. Ma jedynie kłopoty ze scenarzystami. Słynni scenarzyści Jordan Taradash, Axelrod, Abby Mann, Trumbull są niesłychanie drodzy. Żądają 100 tysięcy dolarów zanim jeszcze rączka przeczyta choć jeden wiersz z powieści lub sztuki, którą reżyser chce adaptować. Z drugiej strony producenci nie chcą rozmawiać z reżyserami, którzy nie przedstawiają skończonych scenariuszy. Quine i Donen, mają na przykład, szuflady pełne powieści, ale szukają „rozsądnych” scenarzystów. Na skutek tej sytuacji otworzyła się szansa dla młodych i nieznanymi scenarzystów, którzy chcą nie zgadzać się pisać za o wiele skromniejsze honoraria.

Niemalże zdziwienie w świecie hollywoodzkim wywołała postawa Charltona Hestona, głośnego odwrócy ról Mojżesza, Ben Hura, itd. a znanego u nas z „Białego kanionu”. Heston zwrócił mianowicie wytwórni Columbia 300 tysięcy dolarów, ze swego honorarium po to by uzyskać dla reżysera Sama Peckinpaha swobodę działania. Peckinpah kreśli w Meksyku „Majora Dundee” z tymże Hestonem w głównej roli. Reżyser uznał za konieczne dokreślenie dwóch sekwencji nie przewidzianych w scenariuszu. Columbia i producent Bressler sprzeciwili się temu. Wówczas Heston poparł reżysera. Te 300 tysięcy dolarów pozwoliło im swobodnie pracować. „Mówi się — oświadczył Heston — że aktorzy nie interesują się filmem. Jako aktor jestem bardzo uczulony na takie głosy”. Przykład piękny i godzien naśladowania.

W Culver City pracowano tej zimy nad realizacją (na razie w ramach krótkiego metrażu) filmu „totalnego”. Film ten ma być jedną z atrakcji wystawy światowej w N. Jorku. 132 ekrany ustawione bokiem tworzą tu-



nef. Neruehome kadry sztychów i obrazów mieszają się z obrazami akcji wyświetlanymi przez 30 aparatów. Siedząc na wagonikach bez dachów widzowie podziwiają historię Stanów Zjednoczonych. Siedzenia przypominają fotole astronauzy. Głośniki umieszczone są w oparciu foteli, tuż przy głowach widzów, tak, że dźwięk dociera bezpośrednio do ucha odbiorcy. Scenariusz tego filmu zatytułowanego „Amerykańska podróż” napisał Ray Bradbury. Reżyserował Jeremy H. Leppard — z zawodu architekt oraz reżyser i aktor teatralny. Powiedział on na temat „Cineranii”: „Wykorzystałem więcej wynalazków niż Hollywood w ciągu ewierłowca. Nie chcemy dać nudnej lekcji historii widzów, chcemy go wprowadzić w klimat epoki, w istotę przeżyć naszych przodków zdobywających amerykański kontynent, i potem dokonujących rewolucji przemysłowej, a więc w istotę doświadczającą naszego narodu”.

„Cineranie” może obejrzeć 2.500 osób na godzinę.

Oprac. M. K.



## ALINA GRABOWSKA

Tych dwanaście hektarów lasu zostało im oddane w wieczystą dzierżawę, na lat dziewięćdziesiąt i dziewięć. Miejsce wybrano tak, żeby: blisko do Warszawy, go dzina drogi samochodem. W centrum kraju, do Spawy nietrudno dojechać. — I rzecz bardzo ważna: mikroklimat.

Pewnego dnia usilne starania kierownictwa Ośrodka doprowadzą wreszcie do tego, że droga zostanie zamknięta szlabanem, a cały teren ogrodzony drucianą siatką. Skończą się nareszcie niespodziewane wizyty i „zagładanie na chwilę” ciekawskich turystów. Nic i nikt nie będzie wówczas przeszkadzać w zaplanowanych ścisłym harmonogramem zajęciach. Przedtem jeszcze do wybudowanych dotychczas trzech pawilonów mieszkalnych, budynku administracyjnego ze świetlicą i gabinetem lekarskim, magazynów sprzętu, pomieszczeń gospodarczych z salą telewizyjną i sauny — dojdzie własna kuchnia z salą jadalną. Na razie trzeba korzystać z kuchni Funduszu Wczasów Pracowniczych. Płyną z tego następujące problemy i kłopoty: po pierwsze, bardzo zakłóca to chodzenie do FWP normalny tok pracy. Po drugie — z 60 złotych przeznaczonych na dzienne wyżywienie, tylko 37 i 10 groszy idzie „do kotła”. Resztę pochłaniają FWP-owskie narzuty. Po trzecie — wczasowicze strasznie się denerwują, kiedy tuż obok nich jadają sportowcy, i podczas gdy wczasowicz zadowalać się musi skromnym wczasowym daniem, — tu trzy rodzaje mięsa, pomidory, zsiadłe mleko, wszystko w potrójnych ilościach i jeszcze pani doktor chodzi i każdego pyta: — A czemu tego nie zjadłeś? Na trening nie będziesz miał siły!

Kiedy więc nareszcie wybudowana zostanie tu własna stołówka z kuchnią, i kiedy wymarzony szlaban oddzieli Ośrodek od „natrętów” — nic już nie będzie zakłócać życia w tych białych pięknych pawilonach, na starannie przysypanych piaskiem bieżniach, wśród zielonych drzew mikroklimatycznej Spawy.

Plan zajęć na tym obozie kadry polskich lekkoatletów opracowano wiele miesięcy temu. Spi się od 22 do 7 rano. Własnie o 7 rano następuje „rozruch” — każdy sobie biega leśnymi dróżkami, w spokojnym tempie, ot, dla rozgrzewki. Po śniadaniu czas wolny, przerywany indywidualnym treningiem. Od 11—13 i od 17—19 można korzystać z sauny. W saunie: basen z ciechocińską solanką (leczy urazy i kontuzje), parówka, prysznic, kąpiele, masażysta. Obiad o 13, po obiedzie obowiązkowy sen i odpoczynek. O 17 rozpoczyna się główny trening.

Obóz kondycyjny uroczyście otworzono 12 lipca. Do końca sezonu przejdą przez czterech turnusy po 63 osoby — oczywiście, wiele z tych osób przewinie się po parę razy. Cel: uzyskanie wysokiej formy przed Holandią i Anglią u kobiet, przed Anglią u mężczyzn. Cel ostateczny: uzyskanie najwyższej formy przed Olimpiadą w Tokio.

Na Olimpiadę pojedą tylko najlepsi. Najlepsi nie są jeszcze znani. Tu, na tym obozie, tego lata trenerzy będą bacznie notować wszystkie czasy i wysokości. Pod czas treningów i w trakcie zawodów kontrolnych. Ten obóz wyłoni najlepszych. Tych, którym udało się wytrenować wyniki, wyśrubować najwyższe czasy, skakać najdalej, biec najszybciej, rzucać miotła na odległośći budzące podziw, zapierające oddech w pierś, wywołujące stłumiony jęk tysięcy na stadionach, entuzjazm kibiców łaknących wyników TYLKO NAJLEPSZYCH, TYLKO NIE OSIĄGALNYCH DOTYCHCZAS, TYLKO PRZEKRACZAJĄCYCH GRANICE LUDZKICH MOŻLIWOŚCI.

Tokio już parę lat temu „ustawiło” pracę tych ludzi. Po wielomiesięcznych dyskusjach popartych drobiazgowymi badaniami i

licznymi naukowymi konsultacjami opracowano jak najbardziej szczegółowe plany treningowe dla każdego zawodnika indywidualnie. Trenerzy znają te plany na pamięć. Poprawienie szybkości, uzyskanie lepszej wytrzymałości, wzrost umiejętności technicznych — letni trening jest może lepszy niż wczesnowiosenny czy zimowy, lecz za to bardziej intensywny. W te dni, kiedy zawodnicy „poprawiają szybkość” — przebiegają do 600 metrów w tempie nie różniącym się właściwie od

minutę startują sprinterki. Trzej biegacze już piątą raz rozpoczynają swój monotony, jednakowy przebieg przez plotki. Mają obliczony nie tylko metraż i ilość biegów, ale również czas, w jakim po dobiegnięciu do mety powinni spokojnym, równym krokiem wrócić na miejsce startu. Pod okiem trenera samotnie wykonuje któryś z rzędu skok rekordzista Polski. Z wysokości paru metrów tyczkarze opadają na specjalne gąbki przykryte siatką Krzeselko do podnoszenia sztangi

mencie nie wytrzymuje nadmiernego wysiłku. U skoczków spotyka się urazy stawowe wynikające ze złego opadnięcia po skoku. U tyczkarzy — odbicia od poprzeczki. U wiek szosci zawodników — bóle okostnowe wzdłuż podudzia kości piszczelowej.

Sztuczne przekształcenie organizmu idzie dalej. Jednym z popularnych badań jest tzw. próba ortostatyczna: najpierw na 10 minut kładzie się zawodnika na wznak. Pada się tętno i ciśnienie. Potem zawodnik przez trzy minuty pozostaje w pozycji stojącej. Znowo dokładne badanie tętna i ciśnienia. Potem — przez trzy minuty siedzi. Wreszcie wykonuje 20 przysiadów. Wówczas badania prowadzone są pięć razy, co 60 sekund.

U normalnego człowieka szybkość tętna kształtuje się w granicach 70—78 uderzeń na minutę. Tak człowiek nie wytrzyma, rzecz prosta, biegu. Ale u TYCH NAJLEPSZYCH nawet tętno uległo regulacji. Wyjściowe tętno — 45 uderzeń na minutę — stanowi dowód najwyższej formy sportowej.

Sport jest rodzajem zakonu. Tu nie trzeba nikomu tłumaczyć, że nie powinien pić alkoholu, palić, choćby późno spać. Każdy papieros grozi wypadnięciem z czołówki. Każdy kieliszek wódki może podwyższyć tętno, obniżyć wytrzymałość. Potworny lek przed kontuzją, przed urazem, przed utratą pełnej, wspaniałej formy sportowej. W gabinecie lekarza ruch nieustanny — trzeba kontrolować parę razy dziennie wagę. Trzeba uważać, śledzić każdy ewentualny objaw bólu, trzeba korzystać z elastycznych bandażi, piastrow, maści, z naswietlenia soluxem, dia termi, kwarcówek, z aparatu dynamicznego, z masażu, parówek, natrysków.

Nieustanne napięcie psychiczne, nieustanna kontrola własnego organizmu, własnych reakcji. Do Anglii, do Holandii, do Tokio pojadą TYLKO NAJLEPSI! Tylko oni usłyszą ten podniecający, wspaniały ryk dopingu, tylko ich udziałem będzie powszechny, sportowy entuzjazm tłumów. Wiece — obozy sportowe, zgrupowania, treningi parę razy do roku. Wiece całkowite, zupełne poświęcenie SPRAWIE. Dziś nie można już sportu wyczynowego łączyć z ambicjami zawodowymi, nawet z życiem prywatnym. Utaentowany zawodnik, jeżeli pragnie pojsć do jakichkolwiek przywrotnych wyników musi trenować 4-5 razy w tygodniu po parę godzin. To nie jest zabawa, to nie jest przyjemność. To jest ciężka, naprawdę ciężka praca.

Co będzie z nimi później, wtedy kiedy wiek zmusi ich do ustąpienia?

Coż — nawet jeżeli potrafią ustawić się w życiu, pracować, egzystować — sport wyczynowy uczynił już z nich swego rodzaju ludzi chorych, ludzi innych. Nie tylko w sensie psychicznym. Pozostaną nie wyleczone, zastarzałe kontuzje i urazy. Pozostaną silne nerwice serca — zjawisko tak często spotykane u ludzi, którzy nagie zaprzestali uprawiania sportu wyczynowego. Organizm nigdy nie wróci do normy.

Ale stadiony całego świata domagają się NAJLEPSZYCH. I będą ich miały. Wyhodowanych w laboratoryjnych warunkach, wspinających, wytrenowanych, z należytym obciążeniem i rozwiniętymi właściwymi grupami mięśni, przygotowanych według naukowych receptur, z psychiką ukształtowaną po to właśnie, aby ZWYCIĘŻĄC.

PS. Serdecznie dziękujemy kierownikowi programowemu Ośrodka PZLA w Spawie, doktorowi Emilowi Dudzińskiemu, lekarzowi Ośrodka p. Jolancie Kesche i kierownikowi administracji p. Rybickiemu za umożliwienie poznania pracy obozu polskiej kadry lekkoatletycznej. Niezależnie od opinii wyrażonych w powyższym raporcie, pragniemy z całą odpowiedzialnością wyrazić uznanie naszym trenerom i opiekunom sportowym, za ich pracę, naprawdę ofiarną i pełną prawdziwego umiłowania sportu.

# REZERWAT WYCZYNOWCÓW



normalnego sprintu. W dni poświęcone „wytrzymałości” sprinterzy muszą przebiec do kilometra. Najściślej, niczym w naukowym laboratorium obliczono i opracowano czas każdego przebiegu, ilość metrów, ilość skoków i rzutów. Trenerzy prowadzą kartoteki i obliczenia: obok nazwisk zawodnika setki drobnym mączkiem pisanych cyferek: w pierwszym przebiegu miał 2,7, w drugim 2,5. Musi poprawić start, lewa noga pozostaje w tyle. Nadmierne poddanie się do przodu.

Dziś, w roku 1964 naszej ery nie ma w sporcie dyletantów, laików, hobbistów. Są fachowcy. Fachowcy-lekarze, fachowcy-dietetycy, fachowcy-trenerzy, fachowcy-masażyści. Dopiero najściślej przez fachowców opracowany program pozwoli należyście rozwinąć się temu mięśniowi a nie innemu. Dopiero pod ich kierunkiem można przekształcić pewne wrodzone właściwości ludzkiego organizmu. Można ciało człowieka ukształtować w taki sposób, aby następowo, w wspaniałym, sztucznie wyhodowanym mechanizmie zdolny był do srubowania wyników.

O 17 rozpoczyna się trening. Co

wygląda jak średniowieczne narzędzie tortur — w zależności od kąta nachylenia można rozwinąć inne grupy mięśni.

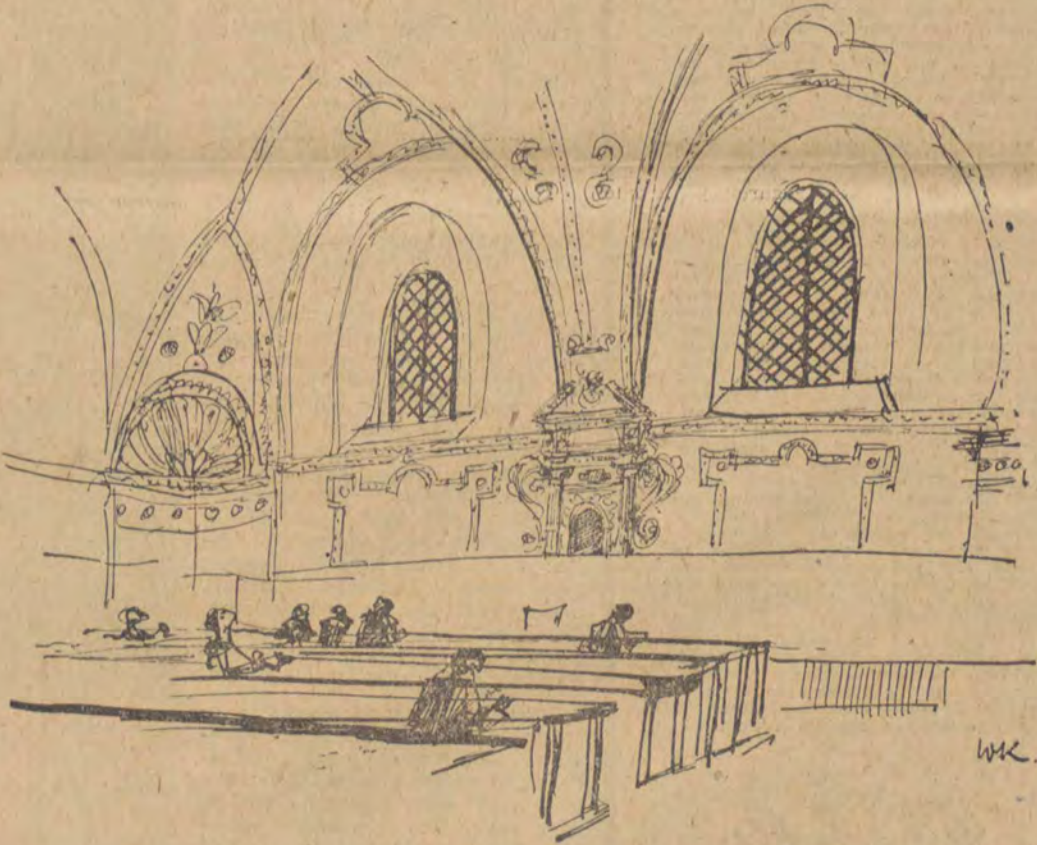
Rozmowy dotyczą: centymetrów, minut, odbicia, przebiegu, startu, biegni, kontuzji, medykamentów. Do lekarza podchodzi jeden z zawodników, prosi o tabletki witaminy B1. Od dwóch lat przed każdym biegiem zażywa witaminę B1. Wierzy, że witamina B1 wpływa podniecająco na system nerwowy. Nauka pomaga zawodnikowi — wszelkiego typu medykamenty cieszą się na obozie wielkim powodzeniem. Przy ich pomocy można skoczyć wyżej, przebiec szybciej, rzucić dalej.

Daleko odeszliśmy od epoki, w której celem sportu było przede wszystkim usprawnienie człowieka, harmonijny rozwój całego ciała, zdrowie fizyczne i psychiczne.

Kontuzje i urazy stanowią tu „chleb powszedni” zawodnika. Najczęściej spotykaną wśród lekkoatletów kontuzją jest kontuzja mięśnia dwugłowego uda. Aparat więzadłowy człowieka nie jest przystosowany do takiego rozwoju i eksploatacji mięśni. W pewnym mo-



# ZAMOŚĆ



SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

I tak, zamiast przeżuwać wspomnienia z Bułgarii, pojechałem (z pańskiego podpuszczenia) do Zamościa. A w Zamościu ruch! Pełno wycieczek, wszystkie uliczki zapchane. Gorąco, więc pod arkady. Zerkam więc z podcienia na ratusz (przepisowo). Duży! Wydaje się o wiele za duży jak na taki mały rynek (który nazywa się Wielki), w Ratuszu remont, więc chodzę sobie pod arkadami i oglądam sienie. Obszerne, białe sklepienia, schodki w górę, schodki w dół, schodziska w boki, wejścia duże i małe, strone pochylone i zakamarki, zakręty, nieoczekiwane przezwity, wnęki i balustrady.

I pełno ładnych i pięknych dziewcząt. Nie kociaków — a dziewcząt. Ktoś nad sklepieniem uporczywie ćwiczy gamy na fortepianie — akustyka świetna. I nie wiadomo na co patrzeć: na dziewczęta, czy na architekturę.

Potem biblioteka — dawna bożnica. Czysta, biała, wokół ciemne boazerie. Na bezkownym sklepieniu wymyślna, dyskretna ornamentyka. Fantazja! Na dole rzędy stołów — sporo zaczytanych ludzi. Cisza. — Nie lada jakie majstry Zamość budowały! Dobrze się tutaj siedzi, ale trzeba jeszcze co nieco zobaczyć. W jednej z bocznych uliczek pan Muhammed Ogły sprzedaje cebulane (ogromne placki zapiekane z cebulą). Pana Muhammeda nie widziałem, ale jego małżonka, która wręczyła mi plackowe koła wygląda zupełnie po zamościańsku. Widocznie przodki pana Ogły dawno już tu przyjechali.

Cebularz, owszem, niezły, ale na koński żołądek. Zamość opasuje Łabuńka — rów z leniwie płynącą wodą — 1,5 m szeroki. Nad nią paru rybaków z wędkami — ciekawe, co oni mogą tam łowić?

W pociągu prześladowa mnie fragmenty Zamościa — najpiękniejsze sienie, jakie kiedykolwiek widziałem.

Myszę, Panie Redaktorze, że do Zamościa należy koniecznie pojechać:

- 1) ze względu na piękną architekturę,
  - 2) ze względu na piękne dziewczęta
- względu te można przestawić jak kto woli.

WACŁAW KONDEK



## "SALON WYTRZEZWIEN"

Myszę, 12 najbardziej charakterystycznym rysem nowej powieści Edmunda Nizurskiego jest — użyskana poprzez realia, sytuacje i postacie — jej współczesność. Jest rok 1961 i małe

miasteczko na Kielecczyźnie. Dr Janyst, pijak, sowidzral, po kocie mu lażący własnymi drogami popada w konflikt z otoczeniem. Odsunięty przez społeczną opinię na margines, wyjeżdża do Warszawy. Utożsamia się ten fakt z próbą podjęcia życia na nowo. Wędrując po stolicy, próba odnalezienia przyjaciół, dużo gorzkich doświadczeń, wreszcie optymistyczny akcent — nieśmiałe ucieleśnienie mieszcznia się w życiu, odnalezienia własnej drogi.

Fabula służy tu potrzebie ukazania szeregu kręgów społecznych i wartościowaniu postaw. Panorama środowisk bardzo bogata — lekarskie (ono przede wszystkim — Janyst jest lekarzem), sportowe i fabryczne (zakład warszawski i wielki kombinat wznoszony na prowincji), małomiasteczkowe i stołeczne, równie bogata skala charakterów i postaw.

Te postawy podda Nizurski surowej analizie i

ocenie. To ludzie mają bowiem stworzyć jego bohaterowi „salon wytrzeźwień”, coś w rodzaju izby rekonwalescentów, umożliwić trudny proces znalezienia własnej, niepowtarzalnej, a równocześnie społecznie wartościowej drogi życia. Czy zdadzą ten egzamin? Jedni tak, inni nie. Nie sprawdzalne jest jedno w życiu — podpowiada Nizurski — etykietowanie, pochopna jednoznaczność w wartościowaniu ludzi, pozory.

Książka jest świetnie napisana — wartko prowadzona i konsekwentna w swym zamysle, dobre dialogi, bogate w charakterystyce postacie, ironiczna tonacja narracji. Jest sprawą osobistej satysfakcji i moc zalecić czytelnikowi taką książkę!

K. B.

Edmund Nizurski, „Salon wytrzeźwień”, Czytelnik 1964, str. 364, cena 20 zł.

## KULTURALNA HISTORIA NONSENSU

Jestem przesadny — jak my wszyscy: czasem spłuwam trzy razy przez ramie, czasem odpukuję w nie malowane drzewo. I oczywiście — jak wszyscy — wstydzę się swych przesądów. Oto dlaczego ucieczyło mnie ukazanie się książki Evansa: ten arcyracjonalista na pewno przecież uleczy mnie z mych śmiesznych słabostek.

I rzeczywiście: czytam, czytam, zdumiony, że mogłem ulegać zabobonom. Już w nie nie wierzę! Co więcej: zaczynam dostrzegać, że przesądów jest więcej, dużo, dużo więcej, niż sądziłem. Otaczają nas tysiącami ciastnych opiółków. Evans burzy je bezlitośnie. Czy Adam, praojciec, miał pepek? Czy wieloryb małże ciastny przelyk, mógł polknąć Jonasza? Czy kobiety w ciąży mogą się „zapatrzyć”? Czy wilczyca mogła wychować ludzkie szczenię?

Evans demaskuje setki legend: m. in. o lemurach zstępujących do morza. Nie zstępują! O synach, rodzących się jakoby częściej po wielkich wojnach. I to nieprawda. O\* gołębiach pocztowych wracających do domów z odległości setek kilometrów. Wracają ponoć tylko z maksymalnej odległości około 40 kilometrów.

Przeczytałem Evansa — i to, daję słowo, z ciekawością. Podziało. Nie wierzę już w legendy. Nie ulegam zabobonom. Więc doradzam tę książkę wszystkim czytelnikom.

P. S. Ale w gazetach przeczytałem, że nasi hodowcy-gołębiarze wypuszczili swe ptaki bodaj w Antwerpi — i że wróciły one do polskich gniazd. I co na to Evans? Biedne przesady. Biedne gołębie.

S. M.

B. Evans: Naturalna Historia Nonsensu, Wiedza Powszechna, 1964, str. 264, 21 zł.

Poza tym nadesłano: Maria Kann „Koniec i początek świata” autobiograficzna powieść dla młodzieży obejmująca dzieje dzieciństwa spędzonego w Rosji, potem szczęśliwe, młodzieńcze, muno sieroctwa, lata przeżyte w ojczyźnie z wybitu — Polsce, do chwili wybuchu drugiej wojny światowej. Książka napisana z dużą kulturą, nasycona ciepłą atmosferą wspomnień.

Wydawnictwo LSW, 1964, str. 214, cena 21 zł.





# Podlotek a LITERATURA

Na żadnego autora nie czyta tytułu krytyki, co na autora powieści dla podlotków. Można wśród nich wyróżnić następujące szkoły:

1. Krytycy familijni. Ci sami, którzy w czasach mojej wczesnej młodości wydzierali z rąk naszemu spragnionemu rzetelnej wiedzy damskiemu pokoleniu „Dzieje grzechu”, a dziś równie bezlitośnie tępią Hłaskę, Caldwellę i M. Samozwaniec. Sądy swoje opierają na przestarzałym kodeksie, ustalającym jednoznacznie, co podlotek powinien, a czego nie powinien wiedzieć. Prawdopodobnie pod wpływem tej grupy krytyków kształtowały się talenty niektórych auterek książek dla dorastających panienek, ze słynną panią Czarską na czele.

2. Krytycy pedagogiczni. Ci pragnęliby, aby specjalna literatura kształtowała pozytywnie charakter podlotka. Do tego celu mogą i powinny ich zdaniem służyć postacie podlotków negatywnych (prywatki i wszelkie inne bachańskie), pozytywnych (nauka i praca społeczna oraz Pierwsza Miłość) oraz krytyków (podlotek negatywny zmieniający się w pozytywny, czyli nowe wcielenie miu o Marii Magdalenie, lub podlotek pozytywny, stający się na tzw. dno (porównaj materiały źródłowe, dotyczące Sodom i Gomory).

3. Krytycy zawodowi. Ostatnio ożywił się bardzo na temat twórczości dla „nastolatka”. Zainteresowanym mogę polecić lekturę „Polityki” (A. Chruszczyński „Lepszy i gorzy tanecznicy”, Pol. nr 5 oraz art. H. Skrobiszewskiej i W. Grocholi, Pol. nr 13), gdzie problemy tego odłamu twórczości zostały omówione bardzo szczegółowo i wnikliwie. Wniosek (w skrócie) są następujące: powieść dla podlotków wleczę za sobą jak kulę u nogi niedobre tradycje „powieści z wyższych sfer”, a więc — bohaterki to panienki z tzw. dobrych domów, a więc obowiązuje pewien stan

darz życiowy i pewien schemat fabularno-psychologiczny. Wprawdzie ostatnio wydane książki są chętnie czytane i nie pozbawione ani walorów ani ambicji, ale zamieszkuje je podlotki nie tkwią korzeniami w glebie współczesności i przeżywają problemy typowe wyłącznie dla siebie, a nie dla całego pokolenia. Grzechami tymi krytycy obarczają zarówno powieści Krüger, Ożogowskiej i Snopkiewicz — Galkiewiczowej jak Kurczaba, Bielńskiego i Jackiewiczowej.

4. Krytycy — podlotki. Lubią dużo o miłości. Nie znoszą opisów, nudziarstwa i moralizowania. Na pewno nie dojrżeli do antypowieści. Przypaść trzeba, że literatura dla dorastających dziewcząt posuwa się, mimo pozorów, dość gwałtownie, czasem bardzo głęboko ukryty, grąszone w tych książkach demon zła, czasem typujący jednym okiem w stronę anioła dobra, a czasem ścierający się z nim w jawnej walce. Ujawnianie dotychczasowych tematów tabu odbywa się najczęściej w sposób bardziej prowokujący niż poznawczy — i to jest właśnie przejaw tego specjalnego wartościowania.

Autorzy jednak mają niewątpliwą ambicję oszczenia współczesności i wpakowania jej w duszę podlotka. A współczesność sobie raczej na to gwizda. Dlaczego?

W związku z tym pytaniem warto się zastanowić, co może na rozumieć pod nazwą podlotka. Otóż podlotek jest to chyba coś pośredniego między dzieckiem szkolnym a BB u szczytu chwały. Podlotkiem można być w wieku lat 12 — 14, 14-16, 30-40, w zależności od indywidualnego tempa rozwoju. A w ogóle procesie zwrotu uwagi na to, że podlotek jest pięć żeńskiej! Istnieje sporo prawdziwej literatury dla chłopców, dla dziewcząt mamy na ogół mniej lub bardziej ambitne książki do czytania. Ale książki dla dziewcząt są jednocześnie książkami o dziewczętach.

Nasza literatura natomiast opiera się głównie na mężczyznach. Jeśli uważnie się

po niej rozejrzemy zauważymy z pewnością, że damskie postacie, które wyszły spod pióra autorów, nie wyrosły z naszych współczesnych podlotków. Po prostu podlotki nie mają odpowiednich tradycji literackich, prócz tych złych, wspomnianych na początku. Jeśli istotnie powieść dla „nastolatka” ma pretendować do miana prawdziwej literatury, musi właściwie za czynić prawie do podstaw.

Nie stawiając żadnych prognoz można jednak ogólnie się zastanowić, jaka ta powieść mogłaby być. Podlotkowe stadium rozwoju ma swoje odrębne cechy wyobraźni, przejawiające się na zewnątrz w wybujałych sentymentach i dążności do poznania w miarę możliwości jak najbardziej przez dorosłych niedozwolonych rejonów życia. Dlatego nie ma rady na czytanie Hłaski i Caldwellę (a jak dopadną, to i Miszkówny). Po co więc są potrzebne książki adresowane specjalnie do podlotków?

Książki „dorosłe” składają się z elementów zupełnie niezrozumiałych dla kilkunastoletnich dziewcząt, bo nie przeżytych przez nie. Znajomość świata z nich czerpana musi więc być powierzchowna i nieprawidłowa. Potrzebna jest literatura tłumacząca podlotkom ich własny świat, to właśnie pierwszy stopień do dojrzałości. Świat odbierany w tym wieku jest zdeformowany w stosunku do świata odbieranego przez dorosłych; występują w nim zupełnie inne proporcje. Pierwszą chyba sprawą dla literatury jest podchwycenie cech tej wyobraźni, wczucie się, że tak powiem, w poetykę podlotka. Tędy może prowadzić droga do odświeżenia formalnego tego rodzaju twórczości.

Motorem ożywającym poetykę podlotka jest wybujałe nad miarę życie emocjonalne, wyrażające się przede wszystkim w skłonności do buntu. Bunt ten jest zjawiskiem biologiczno-psychologicznym, ale jego kierunek i konkretne formy są związane z czasem, w którym żyje podlotek. Kształtująca się osobowość powoduje wzrost egocentryzmu. Pojawia się potrzeba optymistycznej wizji przyszłości. Dlatego do dziś młode dziewczęta czytają wymiennie z Hłaską Anię z Zielonego Wzgórza, bo tam podchwyciono ich poetykę i potrzebę optymizmu mimo, że ta książka egzystuje obecnie raczej na prawach baśni. Chyba jednak przede wszystkim bunt jako typowy wyraz stadium rozwojowego wymaga artystycznego opanowania. Może się to stać tylko wtedy, gdy zostaną odwołane jego konkretne we współczesnym świecie podstawy i cele. Bez trądogo tematu tabu i bez ciągłości dydaktycznych. Pewną próbą w tym kierunku jest niewątpliwie książka Bielickiego „Gdzie jesteś Małgorzata”. Próba jednak nieudana, udana m. in. przez pomieszczenie różnych konwencji powieściowych. Ukazuje się niedużo druga część tej książki, gdzie pojawił się sama Małgorzata. Zobaczymy!

3 sierpnia br., minęła czterdziesta rocznica śmierci Józefa Conrada. Chociaż byłem na wczasach, śledziłem uważnie prasę codzienną i literacką. Nigdzie ani słowa na ten temat. Nawet gdyby czasopisma prezentowały w tym czasie rewelacyjny materiał literacki, nie zwałoby to ich od obowiązku zwrócenia uwagi na conradowską rocznicę. Cóż dopiero, gdy z lamów wieje nuda, a wiała ona bodaj że wszystkich tygodników, które ratowały się tasiemcowymi artykulami, przez nikogo nie czytany. Conrad był i jest prawdziwą rewelacją i nigdy nie dość pisania o nim. Zasłużył sobie na to podwójnie: raz, że był Polakiem, dwa, że był znakomitym pisarzem angielskim, którego dzieła stanowią ozdobę literatury dwudziestego wieku.

Conrad absorbował i absorbuje wiele umysłów w świecie. Poświęcono mu tysiące artykułów, rozpraw, wspomnień i szkiców. W końcu sierpnia br. zmarł w Göttingen Hermann Stresau, autor najlepszej na obszarze języka niemieckiego książki o Conradzie pt. „Tragiker des Westens” (Tragik Zachodu). Książka ta, wydana przed wojną, ukazała się niedawno w nowym nakładzie, Mieszkańcy w Sarajewie Ivo Vidan od lat pracuje nad dziełem o Conradzie, w którym podjął również analizę jego utworów jak i zagadnienie recepcji Conrada na rynku jugosłowiańskim. Nie mówię tu, oczywiście, o krytykach i badaczach angielskich, którzy poświęcili autorowi „Lorda Jima” niejedno studium. A u nas? Łódzki angilista, Witold Ostrowski, napisał o esej „Problemy conradologii”, pomieszczone w tomie „O literaturze angielskiej” (1958), co następuje: „Joseph Conrad jest osobistością w Polsce mało znaną i wskutek tego źle rozumianą. Nie umieliśmy uczynić go twórczym składnikiem naszej kultury i nie umiemy wyciągnąć praktycznych konsekwencji z jego polskości i z jego pozycji w literaturze angielskiej i świata”. Poza wąskim gronem samych twórców, których Conrad fascynował jako człowiek i jako pisarz, czytelnictwo jego książek nigdy nie przybyło szerzyszych rozmiarów. Conrad stał się problemem dla pisarzy, nie stał się problemem dla czytelników. Pamiętacie dwa piękne wiersze, obydwa pt. „Na śmierć Conrada” — Antoniego Słonimskiego i Jana Lechonja? Zwłaszcza wiersz Lechonja wintem znaleźć się w każdej antologii i zawładnąć pamięcią każdego miłośnika poezji,

Nie są to jedyne wiersze o Conradzie w poezji polskiej, ale te właśnie wydają mi się najlepsze. Cóż z tego, skoro w ślad za zainteresowaniami poetów i pisarzy nie wzmaga się zainteresowanie czytelników. Gdyby przeprowadzić dziś badania w szkołach średnich, okazałoby się, że ten i ów, słyszał — być może — o Conradzie, ale nikt nie czytał jego opowiadań i powieści. Kto tu zawinił? Czy sam pisarz w tym sensie, że jego dzieła nie przemawiają już do młodego pokolenia, czy

nym, w każdym razie nie na tyle trudnym, by stanowią jakąś zasadniczą przeszkodę w odbiorze. Jeśli dzieła Tomasa Manna zjednują sobie coraz więcej czytelników, dzieła, które przecież, ogólnie biorąc, nie stanowią nazbyt łatwej lektury, to tym bardziej winno się stać w przypadku Conrada. Jako autor dostarcza on czytelnikom dużych emocji, zaspokaja tęsknotę za egzotyką, a fakt, że urodził się i wyrósł w Polsce, nim stał się marynarzem, a następnie angielskim pisarzem, oświetla życie jego prawdziwie romantyczną mgiełką.

Polskość Conrada to stały problem naszej conradystyki. Każde pokolenie na nowo wypracowuje swój stosunek do jego twórczości. Minęły na szczęście czasy, kiedy Conrada uważano za „pisarza niemoralnego, deprawującego młodzież”. Kiedy czytam dzisiaj te słowa, z trudem przychodzi mi uwierzyć (a myślę, że nie tylko mnie) w to, że ktoś kiedyś tak napisał. A napisał, kochani, napisał. Nie wysnałem sobie tego z pałca. Jest akurat zupełnie na odwrót. Conrad jest pisarzem moralistą i książki jego nie tylko nie deprawują młodzież (co za piramidalna brednia!), ale zmuszają ją do wysiłku intelektualnego i etycznego. Ktoś długo musiał się biedzić nad wymyśleniem przytoczonej wyżej oceny jego pism. Conrad, który heroizował swoich bohaterów, który nakazywał im wierność sprawie i wymagał od nich maksymalnego poczucia obowiązku, ten Conrad jest właśnie pisarzem zwycięskiej młodości, pisarzem odważnym, mądrym i głęboko czującym.

Jestem entuzjastą Conrada, jego zwolennikiem i adoratorem. Uważam, że to pisarz zupełnie wyjątkowy, w którym tyleż z artysty co i z chłodnego analityka. Wśród dziesięciu najlepszych książek świata należy ułokować jego „Lorda Jima”. To jest powieść, którą trzeba czytać co jakiś czas, odnawiać wrażenia i zastanawiać się wciąż nad jej problematyką. Bo Lord Jim był przecież jednym z nas. Był! Nie, jest nim. Pamiętajcie: gdyby wam przyszło wyjechać na bezludną wyspę — gdybyście mogli wziąć ze sobą tylko niewielkie zawiniątko, w zawiniątku tym nie powinno zabraknąć „Lorda Jima”. Sam Conrad najbardziej tę książkę lubił. A już on tam dobrze wiedział, co jest warta.

Jan Kłopotowski

## ROZNIKA CONRADA

nasze wydawnictwa, które w małych nakładach drukują jego książki, czy też krytycy i bibliotekarze, nie dość energicznie propagujący i popularyzujący Conrada. Wydanie zbiorowe Państwowego Instytutu Wydawniczego pn. „Z pism Conrada”, podjęte przed laty, nie zostało jeszcze doprowadzone do końca i nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Ciągłe jeszcze brak nam szeregu pozycji od dawna zapowiadanych jak np. „W oczach Zachodu”. A i nakład z początkowych 50.000 egzemplarzy każdej pozycji spadł ostatecznie do 10.000, co jest faktem godnym ubolewania. Ludzie, którzy kompletują sobie pisma Conrada, zniechęcili się przewlekłym procesem wydawniczym, a także i tym, że dawniej wydawano Conrada w trwałej oprawie, a obecnie w okładkach broszurowanych. Księgarze są zdania, że Conrad potrzebuje większej propagandy i popularyzacji szczególnie wśród młodzieży. Książki jego kupują ludzie starsi, przeważnie inteligentni, którzy gdzieś kiedyś czytali lub słyszeli o nim, natomiast młodzież pozostaje całkowicie poza orbitą zainteresowania jego twórczością. A przecież Conrad wcale nie jest pisarzem trud-

Przepraszamy autora za nieaktualność tytułu jego artykułu, zamieszczonego w nr 32 naszego tygodnika. Tytuł winien brzmieć: Czolem obywatelu pulkownik!

## Notatnik KULTURALNY

31 VIII. — 6. IX. 64 R.  
PONIEDZIAŁEK  
Idziemy ulicą Kilińską i nagle musimy zatrzymać się pod numerem 107. Z wystawy patrzy w naszą stronę „czarująca”, roznegliżowana, ujawniająca niektóre wstydliwe ukrywane części ciała — pani. Obok — gustowny piesek, „jak prawdziwy”, w pobliżu architektura i sceny z krajów arabskich, konie, święci pańscy itp. Myślicie, że to ołdienko domu — „nie-

prywatnego”, jak mawiali dyskretnie przodkowie? Nie, to wirtuozka prywatnego domu rzemieślniczego, gdzie oficjalnie prowadzi się naprawę obrazów i wykonywanie ram. Nieoficjalnie — jest to salon malarzkiej szmery, w jednym z ruchliwych punktów miasta. Nie jedyny to wzrost zakładu, można by ich wskazać dziesiątki przy ul. Zgierskiej, Gdańskiej i wielu innych punktach miasta. Bo obrazy wystawiają tak że niektóre zakłady stolarskie, szklarskie i inne sklepiki. Cóż na to prze-możny i obojętny Wydział Kultury? Czy nie można by w porozumieniu z Wydziałem Handlu położyć kresu rozpowszechnianiu szmery?

WTOREK  
Radogoszcz. Miejsce, które wspomnienie budzi grozę. Jeszcze przed dwudziestu laty — oglądaliśmy pomury gmach dawnej fabryki przez druty kolczaste; z wieżyczek spoglądali ku nam zimna oczy morderców i luty ekm-ów. Wokół murów krążyły psy gotowe do skoku. Za murami gineły tysiące naszych naj-

bliższych — głodzeni; bici, torturowani. Pamiętnego styczniowego dnia ujrzelśmy w północnej stronie miasta smagłą łunę... Nie zapominamy tego nigdy. Dziś, jak co roku, zebrało się tutaj kilkadziesiąt tysięcy ludzi, by nie tylko zmanifestować pamięć i oddać hołd uroczystym, lecz także powieścić — to się nigdy nie może powtórzyć. W tłumie nieatrudno dostrzec ludzi wzruszonych. Oprawa urbanistyczno-plastyczna Radogoszcza — wspaniały pomnik męczeństwa daje wizję tego, co się tu stało, wspiera naszą ułomną pamięć — na murach zachowały się jeszcze ślady pocisków i ognia.

ŚRODA  
W salonie CBWA przy ul. Piotrkowskiej 102 ożywienie. Właśnie otwarto nową wystawę prac członków Okręgu Lubelskiego Polskich Artystów Plastyków. Zgromadzone tu 43 obrazy i grafiki 23 malarzy. Ekspozycja interesująca, choć, jak zwykle, przy takim nagromadzeniu prac — elektryczna, ukazująca różne indywidualności, różne widzenie świata u poszczególnych

malarzy. Mamy więc zarówno malarstwo przedmiotowe nawiązujące do tradycji impresjonistycznych, jak i abstrakcyjne. Nowe propozycje graficzne Zbigniewa Podcichowskiego, Zbigniewa Szurkowskiego i te nawiązujące do starszych mistrzów, jak choćby Noakowskiego. Warto koniecznie zobaczyć, jak artyści lubelscy wykorzystali masę plastyczną do stworzenia obrazów przypominających płaskorzeźbę. Wystawa trwa — powinniśmy ją, choćby dla celów porównawczych zobaczyć. W stosunku do wystawiających tu artystów dopuszczono się jednak nieśmiało — jak można w notach informacyjnych pod obrazami umieszczać nazwiska przed imionami? Mała rzecz, a wstyd jak stąd do Lublina.

CZWARTEK  
Dziś ogromny ruch w „Staromiejskiej” — Klubie ZMS, jednej z pierwszych tego typu placówek w Łodzi i w Polsce. Rok programowej pracy rozpoczyna się o miastec wczesniej, niż w poprzednich latach. Znów

bedziemy przychodzić tutaj na odczyty, spotkania autorskie, występy zespołów estradowych, pokazy filmowe. Bedzie można grać tu także w brydża i bawić się na wieczorkach tanecznych. Klub odwiedza i rozłącza nad nim opiekę przede wszystkim młodzież z dzielnic Bałuty, gdzie mamy jeszcze niewiele placówek zajmujących się działalnością kulturalną. Tym bardziej może pościć fakt, że „Staromiejska” prowadzi tak ożywioną działalność.

PIĄTEK  
W Muzeum Sztuki nowe wystawy. Pierwsza pn. „Czym jest sztuka w życiu człowieka” ukazuje ekspansję sztuki naszych czasów na wszystkie niemożliwe dziedziny działalności ludzkiej. Nie dostrzegamy tego na co dzień, wiele osób nie docenia

NIEDZIELA  
Odwiedzamy Klub „Ruch” we wsi Ręczno w pow. piotrkowskim. Jest to jeden z najlepszych tego typu klubów na terenie naszego województwa. Schudni, ładnie wyposażony lokal; można tu nabyć prasę, książki i wszystkie to co jest do kupienia w księgarni. Klub ten prowadzi ożywioną działalność programową, która jest finansowana przez czynnik miejscowy. Odbywają się tutaj odczyty, spotkania autorskie, dyskusje, a nawet występy zespołów artystycznych. Na terenie naszego województwa zawieszono się już ok. 330 takich klubów, a do końca września będzie ich 350. Otrzymałmy już pierwsze sygnały, że w niektórych miejscowościach władze skąpią groz na działalność programową klubów i słyszy się o pierwszych trudnościach niektórych placówek. Szkoda, że niektórzy ludzie nie doceniają szansy, jaką stworzył im „Ruch”. Obiecujemy, że będziemy sygnalizować o wszystkich trudnościach klubów, powstałych na skutek zaniedbań miejscowych władz.  
J. H. W.



# TAM gdzie dziewczęta BYŁY inne



Nikt nie mógł dokładnie powiedzieć dlaczego tak było, ale dziewczęta w całym Oconee County były inne niż te z naszego powiatu. Wszystkie dziewczęta w Woodland, w naszym mieście, były bardzo nieprzystępne. I mogły uderzyć, a nawet ugryźć. Drapieżne kociaki, a nie dziewczęta. I nie gorszego nie mógłbyś powiedzieć dziewczętom w okresie dorastania. Ale dziewczęta z Macy's Mill, Bradford, a zwłaszcza te z Rosemark, były zupełnie inne. Wiele razy zastanawialiśmy się nad tym, ale nikt nie wiedział, dlaczego.

— Na czym to polega, że te z Rosemark są inne? — spytałem Bena, kiedy znowu zaczęliśmy o tym mówić.  
— Do diabła — powiedział — nie wiem dokładnie. Nigdy tam nie byłem, tak jak Ben albo inni chłopcy, bo miałem dziewczęta w naszym mieście i odwiedza-

łem ją dwa albo trzy razy w tygodniu, bo tyle razy rodzice pozwalali mi wychodzić wieczorem z domu. Nigdy nie pozwalali mi na spotkania z dziewczętami poza miastem. Dlatego siedziałem w domu i wychodziłem tylko po to, by zobaczyć Milly. Ale dziewczęta z innych części Oconee County nie były takie jak nasze. Inni chłopcy prawie co wieczór jeździli do tych dziewcząt z Bradford, Macy's Mill i Rosemark. A zwłaszcza do tych z Rosemark. Nie mam pojęcia, dlaczego tak było. Ale w dziewczętach z Rosemark było coś, co powodowało, że człowiek nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Ben jeździł do dziewcząt z Rosemark trzy albo cztery razy w tygodniu. Ale najdziwniejsze było to, że rzadko kiedy spotykał się z jedną dziewczyną więcej niż raz. Za każdym razem miał

nową dziewczynę. Inni chłopcy także. A niech to! Ja musiałem siedzieć w domu albo spotykać się z Milly i z nikim więcej.

Poprosiłem Bena, żeby mi powiedział jakie naprawdę są te dziewczęta z Rosemark i czym się różnią od naszych.

Ben był moim kuzynem i dlatego mogłem mu zadawać pytania dotyczące takich delikatnych spraw.

Do wszystkich diabłów! — powiedział. — Nigdy nie byłem u dziewcząt z Rosemark, prawda, Fred?

Opowiedziałem mu, jak to było z Milly. Nie chciałem ciągle się z nią spotykać, ale nie miałem nigdy okazji pojechać do Rosemark, tak jak inni chłopcy.

— Durniu — powiedział — po co ty się z nią ciągle spotykasz? Ona jest taka sama jak inne tutejsze dziewczęta. Powinieneś pojechać do Rosemark i zobaczyć prawdziwe dziewczęta. One nie są takie jak te z Woodland.

— Jakże one są, Ben? — spytałem znowu. Każdy mówił, że są inne, ale nikt nie powiedział, dlaczego są inne. No dlaczego?

Wiesz, to trudno powiedzieć. Zachowują się tak samo jak wszystkie dziewczęta, ale są inne.

Opowiedz mi o nich, Ben.

— Powiem ci tylko, że jeżeli pojedziesz tam, to musisz bardzo uważać. Każda dziewczyna z Rosemark jest pod nadzorem ojca lub brata. To chyba dlatego, że one są takie rozwydrzone.

— Jak rozwydrzone? — spytałem. — Co one robią? — To też trudno powiedzieć. Nie wiem jak ci to wytłumaczyć. No, są inne. Musisz pojechać.

— A jak się spotkać z taką dziewczyną?

— Nie ma nic łatwiejszego. Po prostu jedziesz tam w którąś niedzielę wieczorem i czekasz przed kościołem póki nie wyjdą. Wtedy wybierasz jedną z nich, podchodzisz i mówisz, że chciałbyś ją odprowadzić do domu. Tylko w ten sposób.

— Tak zrobić? Ale czy pozwoli się odprowadzić?

— Oczywiście. Przecież one są inne. Możesz mieć każdą dziewczynę, którą chcesz, jeżeli ktoś przed tobą jej tego nie zaproponował. Jedź w niedzielę i spróbuj. Do diabła, Fred, musisz zobaczyć te dziewczęta. Nasze nie nadają się do tego, by z nimi kręcić.

Nie chciałem okłamywać moich starych, że idę na spotkanie z Milly, kiedy nie siedziałem. Ale co tam! Musiałem zobaczyć te dziewczęta z Rosemark. Wziąłem stary samochód i przyjechałem tuż przed wyjściem ludzi z kościoła.

Wybrałem największy kościół, jaki tylko był. I stanąłem przed drzwiami. Pomyślałem, że w największym

kościół mam większe szanse, bo więcej dziewcząt może się w nim pomieścić.

E, tam, nie miałem żadnych trudności. Podeszedłem do pierwszej dziewczyny, która wyszła i spytałem, czy mogę ją odprowadzić. — Oczywiście — odpowiedziała zadowolona. Dziewczęta w moim mieście były nieprzystępne i nie pozwalały się odprowadzać do domu. Te z Rosemark pod tym względem były zupełnie inne.

— Gdzie mieszkasz? — spytałem.

— Pięć mil stąd — powiedziała. Była bardzo miła, jak wszystkie dziewczęta, jeżeli wiesz, że będą miały z tego jakąś korzyść. — Chcesz mnie odprowadzić?

— No pewnie — powiedziałem. — Bez względu na odległość. Pięć mil to nie drobizg. Ale tym lepiej dla mnie, bo miałem więcej czasu, żeby dowiedzieć się czegoś o niej, i stwierdzić, czy rzeczywiście jest inna.

Pokazała mi drogę i ruszyliśmy. Stary wóz ciągnął dobrze, choć wcale mi się nie spieszyło.

— Jak ci na imię?

— Betty.

Zadna dziewczyna w Woodland nie miała takiego imienia. Powoli zaczynałem rozumieć, dlaczego wszyscy chłopcy jeździli do Rosemark.

Ech, ta była inna! Usiadła tuż obok mnie i pochyliła się trochę do przodu. Wyglądała na bardzo zadowolona. Nigdy jeszcze nie widziałem tak miłej dziewczyny. Wzięła mnie pod rękę i przytuliła się do mnie. Cholernie mnie to przeszkadzało w utrzymaniu samochodu na drodze.

Kiedy wyjechaliśmy za miasto, jakiś samochód zbliżył się i jechał cały czas za nami. Zjechałem na bok, żeby mógł wyprzedzić, ale on nawet nie próbował. Wydało mi się to śmieszne, bo jechałem 10 mil na godzinę i strasznie kurzyłem. Ten, który jechał za nami, chyba zżarıował, bo nie wyprzedzał nas.

Betty przysuwała się do mnie coraz bliżej i była taka miła, a ja nie wiedziałem, co mam robić. Do diabła — pomyślałem — mam okazję żeby ją pocałować. Było to ryzykowne, bo wszystkie dziewczęta, które znałem, były szczególnie czułe na tym punkcie i za coś takiego potrafiły porządnie trzepnąć.

Ech! Nachyliłem się i pocałowałem, a ona nie pozwoliła mi przerwać pocałunku. Stary samochód toczył się po drodze jak pijany, ponieważ Betty nie zamierzała oderwać się ode mnie. Mało brakowało, a wpadlibyśmy do rowu, bom nie wiedział, w którą stronę pokręcić kierownicę. Ech! Dziewczęta w Rosemark były naprawdę inne.

Wreszcie oderwałem się od niej i głęboko odetchnąłem. Teraz widziałem przed sobą drogę.

— Nie lubisz się całować? — spytała pochylając się znowu do przodu tak, jak to robi dziewczyna, kiedy chce, byś poczuł się dziwnie.

Do licha, nie mogłem jej tego darować. Objąłem ją prawą ręką i pocałowałem tak mocno jak tylko mogłem. Moja brutalność nie przestraszyła jej. Widocznie spodobała jej się nawet, bo objęła mnie za szyję i obie nogi przerzuciła na moje kolana. Tak się tuliła, aż dech we mnie zapało. A niech to! Nie wiedziałem, że dziewczęta tak potrafią. Ben mówił, że dziewczęta z Rosemark są inne, ale nie przypuszczałem, że coś podobnego mi się przytrafi.

Koniec świata! Dziewczyna siedziała mi na kolanach, tuż pod kierownicą, a mnie było cholernie trudno całować ją z całej siły i jednocześnie prowadzić samochód. Już wtedy wiedziałem, że wrócę do Rosemark, jak tylko będę mógł się wyrwać z domu. Miał rację Ben, kiedy mówił, że tutejsze dziewczęta są zupełnie niepodobne do naszych. Tak, te nasze były do niczego.

W międzyczasie dojechaliśmy do jej domu. Betty ułoniła głowę, by mi powiedzieć, gdzie skręcić. Nim zdążyłem skierować wóz w stronę podjazdu, samochód, który jechał cały czas za nami, uprzedził mnie i musiałem nagle zahamować, żeby nie wpaść na niego.

— Co to za duren? — spytałem.

— Mój tatuś — powiedziałam Betty.

Chciałem powiedzieć coś dosadnego o tym tatuś, co wycynia takie rzeczy, ale pomyślałem, że lepiej nie, jeżeli chcę ją jeszcze zobaczyć. Pomyślałem sobie, że jak wjedziemy na podwórze, zaproponuję jej następne spotkanie.

Betty opuściła ręce i odsunęła się ode mnie, tak, jakby nic się nie stało.

Zgasilem motor i otworzyłem drzwi. Lekko wyskoczy-

ła z samochodu, a ja za nią. Ledwie zdążyłem postawić nogę na schodku, kiedy mężczyzna, który wyprzedził nas przed bramą, wepchnął mnie z powrotem na siedzenie. Pchnął mnie tak mocno, że padając uderzyłem plecami o kierownicę.

— Dokąd! — warknął. — Zapuszczaj motor i wynoś się stąd, żebyś mnie więcej nie widział.

Podszedł bliżej i pchnął mnie jeszcze raz. Wtedy zobaczyłem, że trzyma w ręku wielki żardzewiały pistolet z lufą długą na około półtora stopy.

— Jeżeli jeszcze raz się złapię z Betty, będę strzelał — powiedział.

Nie traciłem ani chwili. Zal mi było Betty, bo chciałem się z nią umówić na następny tydzień, ale co miałbym z tych spotkań, gdybym z nich nie wyszedł żywy?

Wróciłem do domu i położyłem się do łóżka. Teraz już wiedziałem, dlaczego Ben nie spotykał się z tą samą dziewczyną dwa razy. Wiedział, co robił. Wiedziałem też, dlaczego mówi o tamtych dziewczętach, że są inne. One naprawdę są inne. Trudno powiedzieć, na czym polega ich odmienność, ale łatwo poczuć to na własnej skórze.

Następnego dnia spotkałem Bena i opowiedziałem mu o mojej wczorajszej wyprawie do Rosemark. Opowiedziałem mu o tym, jak Betty mnie całowała i jak siedziała na moich kolanach.

— Co? — krzyknął.

Jeszcze raz opowiedziałem mu o tym, jak nie mogłem się od niej oderwać i jak położyła nogi na moich kolanach.

— Niech to wszyscy diabli! A to ci dopiero! Żadna z nich nie pozwoliła mi się jeszcze pocałować i żadna nie siedziała mi na kolanach.

— Do licha Ben — powiedziałem — to dlaczego mówisz, że one są inne.

— Niech to wszyscy diabli! — powtórzył. — Nie wiem.

Przełożył

ROMAN GORZELSKI

## fraszki jana Czarnego

ZABA

Staw przepłynąć żaba może,  
ale czy przepłynie morze?

POCZĄTEK

Nie wiadomo, gdzie początek  
różnych myśli i myślałek.

Lewym okiem

NIE BIERZEMY  
GO!

Od wielu lat jeżdżę dużo pociągami, w okresach ciszy i w okresach szczytów, po magistralach i różnych bocznych torach. Z całą satysfakcją stwierdzam, że nieporozumienia z tymi pra-

cownikami PKP, z którymi styka się zwykły pasażer, zdarzają się bardzo rzadko. Konduktorzy i kontrolerzy mogliby prowadzić kursy demokratycznego savoir-vivre'u, salutują, proszą i dziękują, ba — mówią dobry wieczór w każdym przedziale! Podziękowanie za prawo przedzłurkowania mojego bi letu tak mnie zawsze dziwi, że przestaję zauważać nawet zapchane ogrzykami popielniczki, nie domykające się okna i — excusez le mot — zaplute podłogi.

Natomiast rzadko — na szczęście — korzystam z dużo bardziej nowoczesnego środka komunikacji, jakim jest autobus. Tutaj na odwrót: osiągnięcie porozumienia z kierowcą lub konduktorem jest rzeczą całkiem wyjątkowa. Cóż, władza jest używką silną, a manifestuje się najchętniej płataniem złośliwości bliźnim, uzależ-

nionym chwilowo od niekrepowanej decyzji władcy. Chciałem powiedzieć — kierowcy (lub konduktora) PKS.

Na samym starcie, na przystanku zerowym, to jeszcze pół biedy. Ostatecznie można zrezygnować z miejsca, którego numer wypisała na bilecie kasjerka, można przysiąc godzinę wcześniej i ustawić się w kolejce, albo najlepiej zaufać siłę własnych ramion i na żadne kolejki, ani inne mieszczkańskie porządki nie liczyć. Można zrezygnować w ogóle z miejsca siedzącego, skoro konduktor „nie będzie się przecieć bił”, skoro „nie wie, po co jest numer na bilecie” i żeby mu dać spokój. Spokój przy pracy święta rzecz. Dla tegoż spokoju można wsiadać raz przodem raz tyłem, po co utrudniać skomplikowane życie załodze wozu. Można też na żądanie

oddać na dach teczkę z drugim śniadaniem, patrząc jak obok kierowcy ustawia się skrzynki z pomidorami. I tak dobrze, że w ogóle czło wieka wzięli.

gorzej na trasie. Na trasie wszyscy stajemy się autostopowiczami. Machamy rozpaczliwie ręką. Chowanie w krzaki bagaż i rodzinne. Nie wiemy, kiedy pojedziemy i dokąd. Liczymy oczywiście tylko na to, że ktoś będzie na tym samym przystanku wysiadł. Wtedy autobus minie przystanek w pełnym pedzie, zatrzyma się sto metrów dalej, może jednak uda nam się ostrym sprintem przebyć tę stumetrową i wetknąć buta między drzwi ruszającego już wozu.

— Ja pana i tak nie wpuszczę — stwierdzi konduktor, kierowca zdopinguje go kilkakrotnym okrzykiem: drzwi zamkną drzwil nie

bierzemy go! — a publiczność zawtóruje przymilnym uśmiechem. Publiczność będzie zawsze po stronie silniejszego. Publiczność zdziwi się i skrzywi z niesmakiem, gdy poproszę o sześćdziesiąt groszy reszty. Wzięliśmy go, a jeszcze reszty potrzebuje! Kierowca będzie mówił o tych sześćdziesięciu groszach aż do Kiernozi, potem zajmie się moim sąsiadem.

— Nie mógł pan wcześniej powiedzieć, że chce wysiąść? Jedzie i nie mówi! Pewno z wesela, co? Pracę u trudnia. Mówiłem panu, żeby pijanych nie brać!

Sąsiad nie był pijany, aleś my mieli uciechę. Bo wreszcie sto metrów dalej wysiadł, a żona została. Trudno, jak ktoś boi się skakać w biegu przy marnej czterdziestce na liczniku. Potem jeszcze wysiadło coś z tuzin osób z dziećmi i grzybami, a nowych nadal nie braliś-

my. Po co? Stali i machali śmiesznie rękami. — O, temu to się spieszy! — dogadywał kierowca i naciskał pedał. — Do jutra zajdzie! — mówiłem. Gdybym nie mówił, władca mógłby wpaść w zły humor i w ogóle dalej nie jechać. Albo kazalby mi pchać swój wóz pod górę. Albo śpiewać sopranem, żeby było weselej. Albo w ogóle nie wziąć ode mnie pieniędzy i wtedy byłbym nie tylko intruzem, przeszkadzającym w należywym funkcjonowaniu Wielkiej, Precyzyjnej, Nie Przenaczonej dla Nikogo Instytucji, lecz także zwykłym przestępcą gospodarczym, nie objętym amnestią.

Albowiem człowiek obdarzony władzą może wszystko, a przynajmniej tak mu się zdaje. Niestety, trochę — jak na PKS — zbyt często!

CWIEK